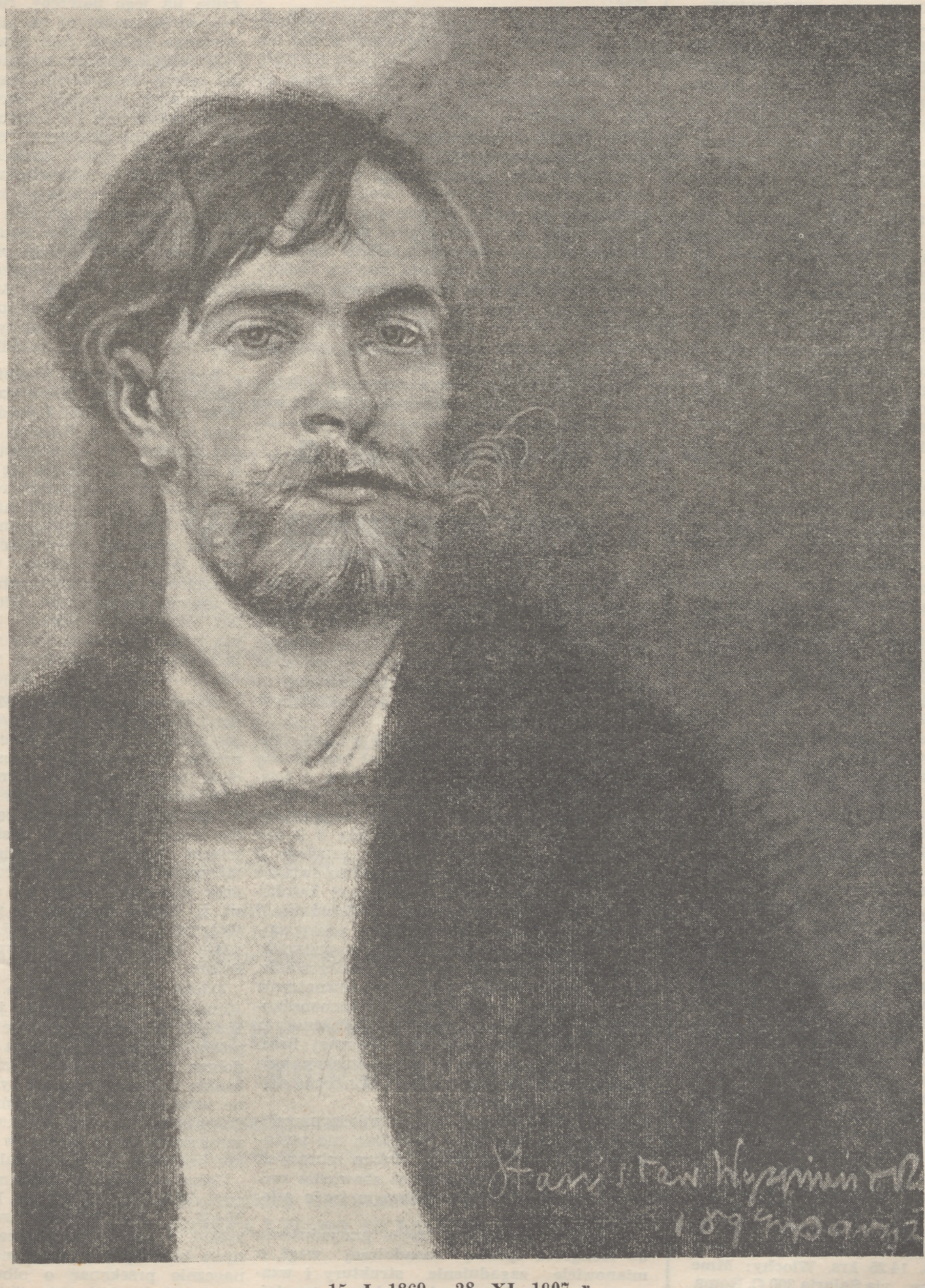
ŻYCIE

ROK XI NR 48 (545) NIEDZIELA, 1 GRUDNIA 1957 R. Cena 1/6



15. I. 1869 — 28. XI. 1907 r.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

ROK XI NR 48(545)

Niedziela, 1 grudnia 1957 r.

Wydaje:

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS", — 12 Praed Mews, London, W.2. Telefony: AMBassador 6879; PADdington 9734

Redakcja: Godziny przyjęć codziennie z wyj. sobót, niedziel i świąt g. 3-4 pp. Redakcja Rękopisów nie zwraca.

Administracja: Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyj. sobót, niedziel i świąt.

Prenumerata (płatna z góry): miesięcznie: szyl 6/6, dol. 1.10, fr. fr. 330; kwartalnie: szyl. 19/6, dol. 3.00, fr. fr. 975; półrocznie: s. 39/-, dol. 6.00, fr. fr.1.950.

Wpłaty: a) w krajach bloku szterlingowego: Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji ŻYCIA. Zmiana adresu: szyl. 1/-, płatne równocześnie z zawiadomieniem.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez 1 łam — £ 1, dol. 3.00, fr.fr. 1000. Kolor. 100% drożej.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Argentyna: „Libreria Polaca", Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. **Australia: „Społem",** 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A.; **R. Treister,** 138 Burton St., Darlinghurst, N.S.W. **Belgia: Mme E. Kułakowska,** 1, Avenue Tedesco, Bruxelles. Pren. kwart. 130 frs. **Brazylia: Książnica Polska,** Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; **ks. dr Antoni Łatka,** Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **Dania: Ks. O. J. Szymaszek,** Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **Francja: Ks K. Stolarek,** 29 Av. du Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), C 5 603 40. **Holandia: B. Galas,** Fagelstraat 15A, Breda. **Kanada: Canadian Mosaic Publishers,** Suite E, 4118 Western Av., Montreal 6; **International Book Service,** 57 Queen St. W., Toronto. **Niemcy: St. Mikiciuk,** Gablonzerstr. 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 10 MD. **Norwegia: B. Łubiński,** Kongesgat 2, Moss. **Stany Zjedn.: „Gryf Publication",** 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **M. Kijowski,** 380 North Av., Dunellen, N.J.; **„Pomoc" — Eksport-Import,** 761 Filmore Ave., Buffalo 12, N. Y.; **S. J. Rozmysłowicz,** 5718 St. Lawrence, Detroit 10, Mich.; **Mme J. Stojanowska,** 424 Ave. „E", Bayonne, N. J.; **Veritas Americana,** 134-09 Cherry Ave., Apt. 3B, Flushing 55, N.Y. **Szwajcaria: Mme B. Gierszewska,** Wallisellenstr. 483, Zurich, konto pocztowe: Zurich VIII 50734. Pren. kwart. 9.00 fr. **Szwecja: Mgr. B. Z. Kurowski,** Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 14.25 krs. **Włochy: Mme Bułhak-Jelska,** via Salaria 300 C, Roma.

LISTY DO REDAKCJI

DO ARTYKUŁU „O PORTRECIE SARMACKIM"

Szanowny Panie Redaktorze!

W artykule moim „O portrecie sarmackim" (ŻYCIE, 27 października 1957 r.) wkradło się kilka nieścisłości, które chciałbym sprostować:

1. Panieńskie nazwisko Teresy Gorskiej (żony Michała) brzmi Nagurska, a nie Nagórska.

2. Michał Nałęcz-Gorski był kawalerem orderu św. Stanisława (jak poprawnie podałem w pierwszej części odnośnego ustępu), a nie orderu Orła Białego, o czym pomyłkowo wspomniałem w innym miejscu.

3. Informacja o pochodzeniu Gorskich od Nowodworskich jest słabo motywowana i należałoby ją podać jedynie warunkowo.

Wreszcie w podpisie pod ilustracją na okładce ŻYCIA, odnoszącą się do mego artykułu, wkradła się niemiła omyłka drukarska: mianowicie imię przedstawionej na portrecie damy brzmi Konstancja a nie Katarzyna.

Mam nadzieję, że zechce Pan umieścić tych parę słów sprostowania.

Łączę wyrazy szczerego szacunku

Mieczysław Paszkiewicz

KRONIKA

ZEBRANIE SPRAWOZDAWCZE PO KONGRESIE ŚWIECKICH

Staraniem Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej, w dniu 5 listopada bież. roku w sali Ogniska Polskiego w Londynie, odbyło się publiczne zebranie, na którym delegaci na II Międzynarodowy Kongres Apostolstwa Świeckich w Rzymie zapoznali zebranych ze znaczeniem i przebiegiem tego ważnego w dziejach Kościoła zdarzenia.

Prof. dr Andrzej Ruszkowski z Limy (Peru), który na Kongresie kierował jego stroną informacyjną w sekcji prasy, radia i telewizji, podzielił się swymi wrażeniami z Kongresu, wybierając tylko niektóre, najważniejsze jego rysy. Obfitość materiału z 9 dni trwającego Kongresu, na który przybyło 2 tysiące delegatów z 83 krajów całego świata i z 50 międzynarodowych organizacyj katolickich, jego ogromny ładunek intelektualny i ideowy, przedłożony uczestnikom przez najwybitniejsze dziś mózgi katolickie, pozwoliły w krótkiej prelekcji tylko na podkreślenie, że był ten Kongres już tylko zewnętrznie biorąc, wielką manifestacją wszechobecności i powszechności Kościoła. Wrażenie to jeszcze potęgowała obecność znacznej ilości katolików ras czarnej i żółtej, zaskakująco dobrze przygotowanych do Kongresu pod względem intelektualnym.

Może na żadnym innym międzynarodowym zjeździe katolików świeckich nie postawiono tak wyraźnie przed oczyma zebranych tej prostej prawdy, iż **dramat zbawienia rozgrywa się w szarym, codziennym życiu człowieka.**

Ojciec św. poruszył w swym przemówieniu do Kongresu sprawę zasadniczej wagi, a mianowicie zagadnienie struktury i wzajemnego stosunku szeroko pojętego apostolstwa świeckich do Akcji Katolickiej, jako działalności opartej na mandacie Kościoła, ale nie wszędzie mogącej skutecznie działać. Organizacja nie może być celem sama dla siebie, jest tylko środkiem i dlatego Papież pozostawił te kwestie przyszłemu Kongresowi do rozstrzygnięcia, aby jasno rozgraniczyć pojęcia i zakresy oraz metody działania. Będzie ta sprawa przedmiotem dyskusji i studiów w rozmaitych krajach.

W konkluzji prof. Ruszkowski podkreślił, że wobec obecnych potrzeb świata **praca katolików świeckich staje się coraz bardziej czuła na jego potrzeby, rośnie poczucie ich odpowiedzialności za to, jak świat wyjdzie z obecnego kryzysu,** jeśli straci potrzebę Boga.

W swej części praktycznej Kongres pokazał szereg konkretnych metod i zastosowań apostolstwa świeckich, zarówno w krajach europejskich jak i w innych częściach świata. Na uwagę zasługiwał referat pani Klompe, ministra opieki społecznej w Holandii, która mówiła o odpowiedzialności katolików w Europie, podkreślając konieczność uczciwego przekazania dorobku kultury europejskiej innym częściom świata i ich ludom. Tutaj prawdziwe zasługi posiadają nasi misjonarze. Z wielką szczerością omawiali przedstawiciele krajów Ameryki Południowej tamtejszą sytuację społeczną i gospodarczą i zaniedbania na tych terenach, ciążące na sumieniach katolików.

Red. dr Wojciech Wasiutyński przedstawił sprawy Kościoła Milczenia na Kongresie oraz udział w nim Polaków z uchodźstwa, gdyż z Polski na Kongres nikt w delegacji nie przybył. W odróżnieniu od I Kongresu w roku 1951 zaznaczyło się na tym Kongresie znaczne zmniejszenie roli katolików europejskich. Europa była na nim tylko jednym z kręgów współczesnego katolicyzmu, można by nawet powiedzieć, że była zaściankiem świata katolickiego wobec licznych i znakomicie przygotowanych ludzi świeckich z innych kontynentów. Uderzała zwłaszcza ich znajomość spraw Kościoła Milczenia i zainteresowanie nim w odróżnieniu od przedstawicieli niektórych narodów europejskich.

O sprawach Kościoła Milczenia najtrudniej nieraz było rozmawiać z Francuzami czy Anglikami, lub też Amerykanami. Na zebrania dotyczące tych spraw przybywali obok delegatów emigracyjnych raczej delegaci egzotyczni, a nie europejscy czy amerykańscy. Największe wrażenie na prelegencie zrobił nie, zresztą doskonały w ujęciu, referat delegata francuskiego o Kościele Milczenia, ale proste stwierdzenie przez czarnego przewodniczącego na otwarciu Kongresu, p. Józefa Amichia, że w jego kraju, na Wybrzeżu Kości Słoniowej, katolicy odmawiają stale krótką modlitwę za Kościół w Polsce.

Udział Polaków, zarówno w przygotowaniu Kongresu, jak i podczas jego trwania, zaznaczył się bardzo wyraźnie i był pozytywny, polska delegacja uchodźcza spełniła na ogół dobrze swoje zadanie i dzięki niej nie zabrakło imienia Polski na tym Kongresie. Inne wrażenia red. Wasiutyńskiego znają nasi czytelnicy z jego artykułu o Kongresie, zamieszczonego niedawno w ŻYCIU, a zatem nie będziemy ich powtarzali.

Zebranie zamknął krótkim przemówieniem szef delegacji polskiej na Kongres i prezes IPAK, p. Jan Baliński-Jundziłł, który podkreślił, iż jako przewodniczący jednej z ważnych komisyj Kongresu, mógł się ponownie naocznie przekonać o olbrzymim wpływie, jaki posiada dziś autorytet Pius XII.

J. Cz.

PUNKTY WIDZENIA

NIEDOCENIANY TRUD

Między 10 a 24 listopada bieżącego roku odbywała się w Londynie impreza, ktora powinna była wywołać daleko znaczniejsze zainteresowanie, aniżeli to, które w ciągu swego dwutygodniowego trwania wzbudziła. W pięknych salach Instytutu gen. Sikorskiego urządzono mianowicie po raz pierwszy w takiej skali „Wystawę Polskiej Książki Emigracyjnej". Wystawę zorganizowało pięć polskich firm wydawniczych, zrzeszonych w Stowarzyszeniu Polskich Wydawców i Księgarzy za Granicą: „Alma Book", „Gryf", „Orbis", „Tern-Rybitwa" i „Veritas". Patronowała wystawie Rada Książki Polskiej za Granicą.

Wystawa wypadła imponująco. Wszystkie zrzeszone firmy oraz kilka innych, które się do imprezy dołączyły, zgromadziły w dwóch wielkich salach wiele tysięcy książek, wydanych w ciągu ubiegłych lat dwunastu na emigracji. Kierownik Wystawy z ramienia Stowarzyszenia, płk T. Rybotycki, włożył osobiście bardzo wiele pracy i doświadczenia zarówno w zgromadzenie książek, jak i ich estetyczne rozmieszczenie na pięknych i gustownych stoiskach. Wystawę otwarto w dniu 9 listopada, a uroczystość otwarcia zgromadziła cały polski emigracyjny świat kulturalny. Był wspaniały nastrój, były doskonałe, krótkie przemówienia i było dużo ludzi.

W następnych dniach przewijało się przez wystawę po kilkanaście osób dziennie. W sumie, licząc pełne tygodnie, przeszło przez wystawę pewnie kilkaset osób, wśród których przeważali wierni przyjaciele wydawnictw emigracyjnych, rozumiejący doniosłość istnienia na wychodźstwie niepodległego słowa drukowanego. Oczywiście, można być z rezultatu wystawy zadowolonym. Czegóż więcej wymagać od imprezy tak specjalnej i od ludzi tak bardzo zajętych kłopotami dnia codziennego?

A jednak nie można opędzić się refleksjom mniej optymistycznym. Książka polska na emigracji nie znajduje takiego zrozumienia i poparcia, na jakie zasługuje. Wie się o tym, że istnieją księgarnie wydawnicze, od czasu do czasu kupuje się również książkę emigracyjną, ma się wyrozumiały uśmiech sympatii, gdy się słyszy o kłopotach i borykaniach finansowych tego czy innego wydawnictwa, ale i na tym się kończy właściwie wszelkie zainteresowanie społeczne poczynaniami wydawniczymi.

Mogę o tych sprawach pisać z zupełną otwartością, ponieważ Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas" jest tylko jedną cząstką tego wielkiego trudu, który niosą na barkach emigracyjni wydawcy. Jest to, zaiste, trud jeden z największych na emigracji. Gdy się przechodziło sto sko po stoisku i przyglądało setkom i tysiącom tytułów, wszystko wyglądało pięknie, pogodnie, ujmująco. Księgarz emigracyjny stroi swoje książki w najpiękniejszą szatę graficzną, na jaką go stać.

Ale poza tą barwnością i estetyką, za kulisami pracy wydawniczej, kryje się ciężka, uparta, nieustająca walka o istnienie i możność pracy. Każdy z tych wydawców-księgarzy mógłby z łatwością i z powodzeniem założyć inne, popłatne przedsiębiorstwo, nie zbywa im na przedsiębiorczości i rzutkości. Setki sklepów polskich prosperuje świetnie w Londynie i innych miastach brytyjskich, osiągając poważne sukcesy handlowe. Nie byłoby więc trudności i obawy powodzenia. Ale tych kilku czy kilkunastu ludzi, wydawców polskich, uparło się, żeby wypiekać i rozprowadzać świeżo wypieczone książki.

Na emigracji wychodzi rocznie około 150 tytułów. Nakłady wahają się od dwóch do pięciu tysięcy. Nie są to nakłady bardzo wysokie i łatwo powinno by się je sprzedać wśród społeczeństwa emigracyjnego w Wielkiej Brytanii i w innych ośrodkach uchodźczych. Tymczasem nie jest żadną tajemnicą, że sprzedaż idzie ciężko i że ludzie nie zawsze rozumieją służebną istotę i cel wydawania książek na emigracji.

Książka polska na świecie ma w tej chwili dwa źródła pochodzenia: oficyny wydawnicze w Kraju i wydawnictwa na emigracji. Jest bardzo wiele pięknych książek, które przychodzą z Kraju, ale w istocie nie jest to książka w pełni wolna. Spodziewaliśmy się tego po Gomułce, że w fali napływających książek z Kraju będzie coraz więcej nieskazitelnych, a coraz mniej zbrukanych cenzurą. Niestety, książka w dalszym ciągu nie jest wolna. Z „Karmazynowego poematu" Lechonia usuwa się chyłkiem dwie linijki, bo mówią o Lwowie i Wilnie, z całego zbioru wyrzuca się wiersze religijne, a w tekstach najwybitniejszych pisarzy współczesnych „lektor" czy cenzor usuwa całe stronice.

Książka przychodząca z Polski jest dużo tańsza od emigracyjnej. Na emigracji wydawca musi zapłacić pełną cenę za wszystko i to tylko ze swoich wpływów księgarskich. W Kraju książka jest — dawniej bardzo a dziś mniej — subwencjonowana z podatków, jakie płaci nędzna pensja robotnika i urzędnika polskiego. Mówi się często z wymówką wydawcom emigracyjnym, że książka wychodźcza jest droga, a z Kraju tania. Dlaczego oni mogą, a wy nie? — powiadają ludzie. Przy stawianiu takich pytań nikt nie pomyśli, o subwencyjnym systemie wydawnictw w ustrojach komunistycznych. I nikt nie myśli o tym, że jeśli nie poprze się księgarstwa emigracyjnego, jeśli mu się pozwoli, nie daj Boże, upaść, to pozycje Lechonia, czy niektóre powieści klasyków polskich, a również utwory pisarzy współczesnych, będą już do nabycia tylko w formie ocenzurowanej.

Z łamów tego pisma od przeszło roku padają słowa bardzo realistyczne o sytuacji w Kraju i czytelnik wie, że nie ma tu szczucia i gołosłownych zarzutów. Ale faktów nie można ukrywać: książka w Polsce nie jest wolna. I dlatego jest rzeczą wielkiej wagi, aby przecież gdzieś na świecie mogło istnieć polskie słowo drukowane nie podlegające cenzorowi.

Chcę powiedzieć, z jakim ciepłem i serdecznością zwracają się do emigracyjnego wydawcy-księgarza ludzie, którzy naprawdę głęboko rozumieją współczesne zagadnienia polskie. Rozumieją to doskonale koła katolickie. Ich imieniem pragnę owe słowa serdeczności i zrozumienia przekazać ludziom wielkiego, a nie dość ocenianego trudu, polskim wydawcom emigracyjnym. Tym gorętsze, że nieco spóźnione i nie przekazane na czas.

J. K.

NA POMOC POLSKIM SZKOŁOM KATOLICKIM

Koncerty na cele dobroczynne, jakimi są imprezy urządzane co roku na rzecz polskich szkół katolickich, należą do niewielu — jeżeli nie są jedynymi imprezami, w czasie których można publiczności polskiej pokazać nowe polskie talenty śpiewacze. Do takich imprez należał i tegoroczny koncert w St. Pancras Town Hall, urządzony tym razem z myślą przyjścia z pomocą zakładowi sióstr nazaretanek w Pitsford i szkole Polskiej Macierzy Szkolnej na Devonia Road w Londynie.

Obok gwiazd muzyki i śpiewu — Wtórzeckiej, Nowakowskiego i Niemczyka — oraz obok znanych chórów im. Szymanowskiego i Chopina, był ten koncert próbą sceniczną nowych i dobrze się zapowiadających talentów śpiewaczych męskich, które wyszły z polskich chórów w Anglii, a obecnie szkolą się dalej i zapowiadają jak najlepiej.

Pierwszy z nich, Ryszard Dziwulak, jest miłym, o łagodnym brzmieniu głosu barytonem, który prostotą, bezpretensjonalnością i urokiem swego śpiewu wyraźnie ujął publiczność, co było jasno widać z gwałtownych dopominań się o bisy. Był to debiut pod każdym względem udany i młodemu śpiewakowi można rokować — przy odpowiednich warunkach — niezłą przyszłość.

Drugi z debiutantów, tenor, Eugeniusz Biński, który choć zachowywał się na scenie z większą tremą i mniejszą pewnością siebie, ma jednak głos, może zbyt słaby jak na śpiew na dużej sali, bez mikrofonu i głośników, ale niezwykle miły i ujmujący.

Trzeci debiutant, Leon Dydymski, wypadł najsłabiej, choć również nieźle. Jest on wprawdzie raczej jeszcze tylko zapowiedzią śpiewaka, niż śpiewakiem, ale przy dalszej pracy, można i u niego oczekiwać pięknych wyników w przyszłości.

Koncert dał okazję porównania dwóch chórów: im. Szymanowskiego i im. Chopina. Trzeba powiedzieć, że chór im. Szymanowskiego jest bardzo dobrym chórem, a Henryk Hosowicz bardzo dobrym, subtelnym i doskonale panującym nad zespołem dyrygentem. Produkcje dwóch piosenek Sygietyńskiego, śpiewanych nie tak dawno przez „Mazowsze" w Londynie, odnowiły wspomnienia wizyty tego zespołu w Anglii i spotkały się z burzą oklasków oraz żądań o bisy. Szkoda, że nie znamy nazwiska solistki chóru, która śpiewała piosenkę „Ej przeleciał ptaszek".

Wtórzecka, Niemczyk i Nowakowski ukoronowali miły wieczór w drugiej jego części. Wtórzecka bisowała dwukrotnie utworami Nowowiejskiego, Niemczykowi i Mierowskiemu publiczność znowu przerywała w środku utworu sonatę D-mol Brahmsa, a Nowakowski bisował wiązanką pieśni legionowych, śpiewanych niedawno na akademii święta niepodległości.

W pierwszej części bardzo dobrze wypadł śpiew Lody Bielickiej oraz mazurki, nokturn i scherzo Chopina grane przez świetnego pianistę Jerzego Sulikowskiego.

Koncert był sukcesem artystycznym prawie wszystkich, był też, chwała Bogu — jak można sądzić z prawie pełnej sali St. Pancras — sukcesem finansowym, a więc i imprezą pożyteczną dla naszych szkół katolickich.

T. B.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

ROK XI — NR 48 (545) LONDYN, NIEDZIELA, 1 grudnia 1957



Powódź zalała olbrzymie przestrzenie północnych Włoch. Mały, przerażony chłopiec, w dużych butach gumowych, pnie się w górę obwałowania, by pomagać innym w ratunku. Tyle domostw popłynęło z wodą, więc nawet słabe ręce mogą się przydać w niesieniu pomocy ofiarom powodzi...

W BIEŻĄCYM NUMERZE:

Strona trzecia tego numeru zawiera program KATOLICKIEGO TYGODNIA WYDAWNICZEGO — między 30 listopada a 8 grudnia — który zostaje zorganizowany pod wysokim protektoratem J. E. ks. arcybiskupa dr. J. Gawliny w dziesięciolecie pracy Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas".

ŻYCIE KRAJU

TEGO NIE TRZEBA WYŁAWIAĆ

Zarzuca się między innymi prasie emigracyjnej, iż zbyt skwapliwie wyławia ze szpalt pism krajowych wszelkie opisy potknięć, błędów, braków i niedociągnięć i że posługuje się nimi w celu dyskredytowania obecnego rządu w Polsce. Czy jest tak w rzeczywistości?

Każdy to wie, że w pismach krajowych aż roi się od opisów zła pleniącego się dziś w Polsce. Nie trzeba ich wyławiać. One same narzucają się oczom, oblegają myśli i serce, najwyższy w nas budząc niepokój. Fakt, że o tych smutnych sprawach pisze się teraz w Kraju bez obslonek — dowodzi z jednej strony, że zło rozrosło się zbyt już bujnie, by je można było ukrywać pod korcem, z drugiej zaś — mówi on jednak o istnieniu w narodzie zdrowego pędu do wyrzucenia na wierzch szumowin i oczyszczenia z nich powierzchni życia społecznego. Jeżeli taki zdrowy pęd w narodzie istnieje, to udział prasy emigracyjnej w tej akcji oczyścicielskiej może być tylko pomocny, a nigdy szkodliwy. Przede wszystkim dlatego, że zagadnienia choćby najbardziej drażliwe mogą być przez nią rozpatrywane z pozycji pełnej wolności słowa, co w Polsce jest w dalszym ciągu — jak wiadomo — nieosiągalne.

Trudno zaprzeczyć, iż — jeśli chodzi o „błędy i potknięcia" władz komunistycznych — to gazety krajowe podają teraz w większości wypadków tylko nagie fakty, bez oświetleń i komentarzy. Nie tylko dlatego, że są to fakty, które mówią same za siebie, lecz z tego przede wszystkim względu, że dyskredytują one sam ustrój. Czy prasa emigracyjna ma o nich nie mówić z tego samego powodu? Rzecz prosta, że musi być przeciwnie, że ma niewątpliwy obowiązek wyciągać je na światło dzienne, bez względu na to jak bardzo są kompromitujące. Jest to tym bardziej konieczne, że równocześnie prasa w Kraju nie unika jak najszerszych i jak najbardziej drastycznych opisów demoralizacji samego społeczeństwa. Półgębkiem (bo widać nie wolno inaczej) mówi się o doprowadzaniu do ruiny gospodarki krajowej przez hordy nieuków i dyletantów partyjnych, o ich zbrodniczo bezmyślnych planowaniach, o karygodnym marnotrawstwie grosza publicznego, a za to całe wielkie czołowe kolumny pism poświęca się grzechom „dołów" społecznych, pijaństwu, nieróbstwu, kradzieży i wszelkim innym przejawom wykolejenia, chociaż te smutne przejawy mają przecież swoje źródło także nie gdzie indziej, jak tylko w samym ustroju. Oczywiście, nawet najbardziej uczciwy dziennikarz nie może sobie dziś w Polsce pozwolić na takie stwierdzenie. Czy prasa emigracyjna ma i w tym wypadku milczeć, aby nie dyskredytować rządu Gomułki?

Jeżeli na podstawie artykułów w pismach krajowych ma się szerzyć i ustalać na Zachodzie opinia o Polakach jako o narodzie pijaków i złodziei, to ktoś to musi prostować, ktoś musi wykazywać bezstronnie, rzeczowo, faktami — co mianowicie doprowadza społeczeństwo do kryzysu moralnego w naszym kraju.

I znowu to jest rola prasy emigracyjnej. To ona ma obowiązek pisać o tym i dowieść tego przykładami, że na rozprzężenie moralne społeczeństwa w Polsce wpływa zarówno system zakłamania i niewiary, zarówno splątanie pojęć dobra i zła, jak i błędy i przestępstwa gospodarki komunistycznej i wynikające z nich zubożenie Kraju, brak pieniędzy na odpowiednie wynagrodzenie pracowników. Kwitowanie wystąpień o podwyżki powiedzeniem, że i Salomon z pustego nie naleje — spowodowało ze strony wielu rodzin najsmutniejszą pod słońcem odpowiedź: „że trzeba kraść, aby żyć..." Kto jest więc winien temu, że kradną?

Oczywiście, że są i bardziej odporni, miejmy nadzieję, iż jest ich większość, lecz zważmy i to, że łatwiej być odpornym, jeśli chodzi o ograniczenie do minimum własnych potrzeb. Trochę to inaczej wygląda, gdy w grę wchodzi i rodzina, a przede wszystkim dzieci i wola utrzymania ich przy życiu za wszelką cenę. A z drugiej strony, czego można oczekiwać od dziecka, w którego rodzinie uprawiana jest kradzież, bez względu na powody tych haniebnych praktyk? I czy można dziwić się wobec tego, iż przestępczość wśród nieletnich wzrasta w Polsce w sposób zastraszający?

Czy prasa emigracyjna nie ma obowiązku wykazywać, co jest tego powodem? Czy nie powinna przypominać i o tym, że niskie zarobki ojca rodziny zmuszają również i matkę do zarabiania poza domem i do pozostawiania dzieci bez odpowiedniej opieki? Jak wiadomo, w większości wypadków wychowuje je ulica.

Czy prasa emigracyjna nie ma obowiązku usilnie podkreślać, że ciężkie grzechy ustroju komunistycznego wobec narodu w Polsce są w tej dziedzinie grzechami śmiertelnymi, jako że chodzi tu o młode pokolenie?

A w ogóle chodzi przecież o naród, którego nędza trwa już całymi latami, o naród wy-

cieńczony niemiecką zbrodniczą okupacją, a potem gnębiony komunistycznym terrorem policyjnym, o naród, który ciągle poza tym jest niedostatecznie odżywiany i któremu mimo to każe się wyrabiać wysokie normy przy pracy. Musi pracować byle jak, bo jakże inaczej podoła w tych warunkach? Strach pomyśleć, jaki obrót mogłyby przyjąć te sprawy, gdyby głęboka wiara narodu nie ratowała go w najtrudniejszych chwilach.

Emigracji nie może być obojętne co się dzieje w Kraju, bo to jest jej własny kraj. Ulgi zdobyte w październiku 1956 roku, więc przede wszystkim zniesienie terroru policyjnego, nieco większa swoboda słowa, a potem żywiołowe rozpadanie się kołchozów — to niezwykle ważne osiągnięcia. Nie spierajmy się o to w tej chwili, ile jest w nich zasługi Gomułki, a ile samego narodu. Stwierdzając z należytą bezstronnością te trzy ważne dodatnie pozycje w bilansie obecnego rządu w Polsce, trudno jednak nie dziwić się równocześnie, że rząd ten nie stara się w sposób dostateczny o utrzymanie ich w stanie nienaruszalnym.

Chłopi wykazali ogromną siłę charakteru w tym okresie. Potrafili — w ciągu roku — pomimo wszelkich braków i trudności — dowieść w sposób niezaprzeczalny, w jak wysokim stopniu system gospodarki prywatnej przewyższa gospodarkę państwową. Poprawiły się zbiory, zwiększyły znacznie dostawy. Czy w odpowiedzi na to nie powinno się oczekiwać dalszej likwidacji kołchozów w tempie możliwie najszybszym? Tymczasem jest podobno przeciwnie. Prasa krajowa mówi coraz częściej o wznowieniu tendencji do utrzymania kołchozów jeszcze istniejących, a nawet o planach zakładania kołchozów nowych. Wymaga tego ustrój, wbrew oczywistym faktom i dowodom, być może nawet wbrew przekonaniu Gomułki. Nikt się tu nie zawziął specjalnie, by Gomułkę dyskredytować, chociaż jest on człowiekiem ustroju i broni spraw tego ustroju w sposób jawny, pomimo całej jego szkodliwości.

W październiku 1956 roku naród Gomułce zaufał i sam tylko Gomułka może dowieść, czy na to zaufanie zasłużył i także on sam tylko może się zdyskredytować w oczach narodu. Prasa emigracyjna tego robić nie potrzebuje. Jej obowiązkiem jest wszechstronna, rzeczowa i obiektywna ocena faktów we wszystkich wiążących się z sobą nierozerwalnie dziedzinach życia w Polsce.

A. K.

DLACZEGO DZBAN JEST PUSTY?

Nędznie wynagradzany pracownik w Polsce, fizyczny czy umysłowy, gdy mu każą w dalszym ciągu zaciskać pasa i nie upominać się, broń Boże, o podwyżkę, ponieważ kasa państwowa świeci pustkami, a — jak wiadomo — i Salomon z pustego nie naleje, musi przyznać, że istotnie; z pustego dzbana nikt nie napełni bez cudu i marnego kieliszka, nie mówiąc już o solidnej szklanicy. Uznając to jednak, robotnik, czy skromny urzędnik chudopałek, ma prawo zapytać, co jest powodem, iż dzban dla niego jest pusty. Jeżeli przyczynia się do tego zbytnia łapczywość uprzywilejowanych, którzy piją w pierwszej kolejce, to ma też chyba prawo zażądać, aby w państwie noszącym nazwę „ludowego" i „demokratycznego" — pierwszeństwo dano najbardziej łaknącym i spragnionym...

Rzecz prosta, że z tego prawa nie skorzysta, bo i o jakich tu prawach może być mowa w ustroju, który na bezprawiu stoi? Zaciska więc tylko dalej pasa i myśli gorzkie przeżuwa, zamiast innej, bardziej tuczącej strawy. Gorycz jednak łatwo zmienia się w gniew, gdy okazuje się, że są wśród uprzywilejowanych i tacy, którzy nie tylko czerpią jak z beczki ze wspólnego dzbana, lecz pozwalają sobie jeszcze na rozchlapywanie dookoła jego cennej zawartości. Kiedy się tylko da marnotrawią ją z lekkim sercem, nie bacząc na to, że tego dzbana ma starczyć dla wszystkich.

Ponieważ chcemy tu operować tylko faktami wybraliśmy więc i podajemy poniżej kilka charakterystycznych przykładów marnotrawstwa grosza publicznego na kilku różnych odcinkach.

Inwestycje. W „Życiu Gospodarczym" z 5 maja bież. roku Mieczysław Kabaj opublikował artykuł zatytułowany „Ukryte bogactwa", z którego dowiadujemy się, że przed siedmiu laty Czarna Wieś, mała osada, położona w przybliżeniu o 20 kilometrów od Białegostoku, nie była jeszcze znana nikomu. Jednak pewnego dnia zjechali tam specjaliści, a za nimi robotnicy. Wycięto las, uzbrojono teren, wybudowano linię kolejową i szosę, po czym z ziemi zaczęły wyrastać budynki fabryczne. W roku 1955 nadeszły maszyny. Hale wybudowano na wyrost, bo kilka z nich pozostało pustych.

Naraz ktoś zarządził zaprzestanie budowy. Różnych domyślano się racji, ale nikt właściwie nie wiedział: dlaczego? Przyszedł rok 1956, a ciągle nie było decyzji, czemu mają służyć olbrzymie hale fabryczne i sprowadzone maszyny. Aż tu pewnego dnia nad wejściem do fabryki umieszczono olbrzymich rozmiarów tablicę: „Wytwórnia wyrobów precyzyjnych".

Do fabryki napływali robotnicy — pracę dostało 560 osób i niedługo zaczęły opuszczać fabrykę pierwsze precyzyjne produkty nazwane „rozstrząsaczami obornika". Ludzie kiwali głowami widząc, że ten „precyzyjny" rozstrząsacz — to zwyczajne urządzenie typu wirówki, umieszczone na dwukołowej platformie. Nikt nie mógł zrozumieć, gdzie się mieści precyzyjność roztrząsaczy. A może dopiero samo roztrząsanie będzie precyzyjne?

Do końca 1956 roku wyprodukowano 640 roztrząsaczy. Koszt produkcji takiego mechanizmu wynosił 19 tysięcy złotych za sztukę, jednak cenę sprzedaży ustalono na 14 tysięcy zł. W sumie zatem do roztrząsaczy dopłacono w roku 1956 **około 2 milionów złotych,** nie licząc kosztów transportu surowca do fabryki i dostarczenia maszyny do odbiorców, co obciążało ministerstwo kolei.

A co robili chłopi, którzy taki roztrząsacz nabyli? Odkręcali urządzenie wirujące, a do dwukołowej platformy zaprzęgali po prostu konia i z precyzyjnego roztrząsacza robił się zwyczajny wóz na oponach.

Kabaj kończy swój artykuł stwierdzeniem, że obok właściwej fabryki stoją od roku hale konstrukcyjne — puste o 5.000 m kw. nie wykorzystanej powierzchni. Można by tam zatrudnić 3.000 osób na dwie zmiany, a 4.500 na trzy zmiany. Pękają w nich tu i tam ściany, odpada tynk, czasem ginie motorek lub kabel.

Koszt tego obiektu wynosił 160 milionów złotych — zakończył Kabaj — duża, bardzo duża kromka narodowego bochenka chleba.

Transport. W „Myśli Gospodarczej" z kwietnia bież. roku podał Jan Zieliński taką prawdziwą historię o transporcie mięsa i chłodniach uspołecznionych:

Do istniejącej chłodni w Dwikozach, niedaleko Sandomierza, dostarczono w okresie między 1-30 czerwca ub. roku 3.500 ton mięsa. Mięso nadchodziło z różnych stron Polski, np. z Wrocławia, Łodzi i Przemysla, zarówno koleją jak i transportem samochodowym. Koszty transportu wynosiły za ten okres 989.800 złotych.

Równocześnie w powiecie sandomierskim skupuje się rocznie 6.500 sztuk trzody chlewnej, a mniej więcej tyle w sąsiednim powiecie opatowskim. Bydło to przywozi się do rzeźni położonych na obszarze województw: katowickiego, krakowskiego i wrocławskiego, po czym, po uboju, przewozi się z powrotem do chłodni w Dwikozach.

Należy zaznaczyć — pisze Zieliński — że transporty kolejowe ze świeżym mięsem w okresie letnim na przestrzeni Zabrze — Dwikozy trwają kilka dni, co powoduje psucie się mięsa i spadek jego jakości z klasy A do klasy B, a nawet C.

Dodatkowy ubytek wartości żywca w czasie transportu kolejowego z powiatu sandomierskiego do odległych rzeźni wynosił w jednym tylko roku 1956 — 2.900 tysięcy zł., a koszty transportu bydła (w trzech tylko kwartałach 1956 roku) wynosiły 2.500 tysięcy sztuk.

Pod transport bydła użyto w roku 1956 — 1.997 wagonów kolejowych.

Prasa. W dniu 22 września bieżącego roku „Przemiany", popaździernikowy tygodnik społeczno-polityczny, wydawany w Katowicach pod redakcją pisarza śląskiego Szewczyka, pod tytułem „Prasa polska przynosi zyski", pisze:

„Większość kulturalnych i społecznych wydawnictw była zmuszona do pokrycia w II kwartale b. r. swych deficytów drogą subwencji ze skarbu państwa. Deficyt ten nie przekroczył w poszczególnych pismach sumy 300 tysięcy złotych. Tak np. „Nowe Sygnały" miały deficyt 277 tysięcy, „Przemiany" — 273 tysiące*), „Życie Literackie" — 262 tysiące, „Warmia i Mazury" — 252 tysiące, „Dialog" — 240 tysięcy, „Przegląd Kulturalny" — 226 tysięcy, „Kronika" — 212 tysięcy, „Twórczość" — 209 tysięcy".

Najmniejszy deficyt powstał w „Nowej Kulturze", bo tylko 31 tysięcy złotych.

Natomiast rekord deficytu pobiły w II kwartale 1956 roku: „Trybuna Ludu" — 2.645 tysięcy, „Sport" — 1.505 tysięcy, „Wieczór" — 1.328 tysięcy oraz „Dziennik Zachodni" — 576 tysięcy złotych.

Nowozałożona „Polityka" zdążyła już zrobić deficyt 480 tysięcy złotych w jednym tylko kwartale.

W sumie deficyt wymienionych tylko kilkunastu pism pochłonął za jeden kwartał 8 milionów złotych, czyli 32 miliony w jednym roku, nie licząc deficytu dziesiątków innych pism i periodyków wydawanych przez partię na terenie całego kraju. Nieznane są również deficyty gazet wydawanych przez poszczególne zakłady przemysłowe, bowiem koszt ich pokrywany jest z budżetów tych zakładów, a wtedy obciąża produkcję wytwórczości, np. motocykli, radioaparatów lub roztrząsaczy obornika.

A. Z.

---

*) „Przemiany" już obecnie nie istnieją, gdyż za zbyt otwarte pisanie o ciężkich warunkach mieszkaniowych górników śląskich, odmówiono im subwencji.

KS. KAN. STANISŁAW BEŁCH

ORIENTACJA BOŻA

(Kazanie wygłoszone w dniu 11 listopada w kościele Brompton Oratory)

Czynność błagania o wolność i niepodległość Polski połączmy z rozważeniem dwu zdań Pisma Św. Jedno mówi: „Oddajcie co jest cesarskiego cesarzowi, a co Boskiego Bogu" (Mt. 22, 21; Mk. 12, 17; Łuk. 20, 25), a drugie: „Więcej trzeba słuchać Boga niż ludzi" (Dz. Ap. 5, 29).

Uprzytomnijmy sobie tę podstawową prawdę, iż Bóg stworzył każdego człowieka wolnym i równym w stosunku do innych ludzi; oraz płynący stąd wniosek, że wszyscy ludzie są równi i wolni. Wobec tego żaden człowiek nie ma nic w swojej naturze, co dawałoby mu prawo narzucania swej woli drugim, rządzenia nimi.

Bóg stworzył i uzdolnił człowieka do życia społecznego w różnych jego stopniach, aż do najwyższego, zwanego życiem politycznym. Człowiek jest zatem z konieczności natury istotą społeczną i polityczną. Najgłębszy sens tej konieczności leży w tym, że człowiek ma naturę dobrą — jako dzieło Boga — a dobro ma to do siebie, że udziela się innym. Człowiek jest dobry, dlatego szczęście jego leży w dawaniu drugim swego dobra, w uszczęśliwianiu drugich.

Równi naturą i celem, ludzie nie są jednak równi uzdolnieniami do funkcji społecznych; każdy człowiek ma jakieś dobro, jakieś uzdolnienie, jakiego nie mają, a potrzebują inni. Ma zatem każdy człowiek jakieś dobro jemu tylko właściwe, którym może i winien uszczęśliwiać drugich, a zarazem każdy człowiek dla swej pełni potrzebuje czegoś co mają inni ludzie. Tak tedy z natury swej ludzie są powiązani wzajemną potrzebą udzielania i odbierania dobra.

Dla pełnego zachowania, rozwoju i funkcjonowania wolności i równości i dla osiągnięcia szczęścia, do jakiego jest stworzony, człowiek tworzy społeczność, która mu to gwarantuje, umożliwia i ułatwia; społeczność ta zwie się państwem. Państwo jest bezpośrednio tworem ludzkim; pośrednio jest ono tworem Boga, bo i powstaje i stoi mocami danymi przez Boga. Państwo, prawo i rząd, czyli władza państwowa jest środkiem do tego, by każdy człowiek znalazł swe miejsce bez przeszkadzania innym, by wolność jednych nie niewoliła drugich; by uzdolnienia, a raczej udzielanie dobra właściwego każdemu mogło być wykonywane w sposób ludzki, to znaczy sprawiedliwy, uporządkowany i celowy, by ludzie się nie marnowali, ale rozwijali.

Zatem rząd i państwo płyną z swego naturalnego źródła, jakim jest naród, który je ustanawia dla swego dobra i szczęścia. Władza pochodzi od Boga w tym znaczeniu, że Bóg ku temu człowieka stworzył i uzdolnił i Bóg tego chce byśmy żyli uporządkowani. Ci co rządzą otrzymują mandat władzy od tych co tworzą państwo, od narodu po to, by służyli narodowi. Taki jest naturalny porządek rzeczy, wskazywany zdrowym, naturalnym rozumem i aprobowany przez Boga-Człowieka.

Jednakże, by zrozumieć naturę człowieka, należy uwzględnić tej natury zepsucie przez to, co nazywamy grzechem pierworodnym. Grzech ten jest powodem dysharmonii w ludzkiej naturze, zaciemnienia rozumu i zanarchizowania woli. Odbić się to może w sposób najpokraczniejszy i najboleśniejszy w życiu politycznym. Jeśli człowiek idzie za czystą, przez Boga zaplanowaną naturą, jego działania są zdrowe i mądre. Jeśli pójdzie za naturą zepsutą, zanarchizowaną, zdysharmonizowaną, jego działanie jest potworne, w życiu państwowym w stosunku do siebie anarchistyczne, a w stosunku do drugich tyrańskie. Jeżeli dane państwo, rząd i prawo, w swym pochodzeniu i funkcji opierają się na wynaturzonych i pokracznych zasadach i nie odpowiadają swoim naturalnym celom i definicjom, nie są ani państwem, ani rządem, ani prawem i to w stopniu, w jakim mijają się one z celem i z naturalnym rozumem.

Słowa Zbawiciela: „Oddajcie co jest cesarskiego cesarzowi" — mogą oznaczać Jego wolę, by ludzie spełniali swe obowiązki wobec tych, co sprawują władzę, wskazując równocześnie, że wolność naturalna nie po to dana jest człowiekowi, by być źródłem anarchii. Jednakże to posłuszeństwo nie wyczerpuje wszystkich ludzkich zobowiązań, lecz raczej ogranicza się tylko do spraw ziemskich. A człowiek ma ponadziemskie aspiracje i cele, i wobec tego także i ponadziemskie zobowiązania. Nawet dla wywiązania się z ziemskich zobowiązań potrzebna jest pomoc i błogosławieństwo Boże. Zbawiciel zaraz dodaje: „... a co Boskiego Bogu", wskazując na posłuszeństwo należne Bogu i Jego planom, oraz na świadczenia ziemskie ze sprawą Bożą złączone.

Bezpośrednio jednak słowa Zbawiciela dotyczą narodu żydowskiego w jego powinności dla cesarza rzymskiego, a więc dla rządu narzuconego, tyrańskiego, rządzącego siłą zbrojnych garnizonów; rządu służącego nie interesom narodu rzymskiego, lecz interesom grupy rządzącej i realizacji idei uniwersalnego imperium, budowanego na niewoli i ucisku ludzi. Rząd taki winien być usunięty i zastąpiony rządem prawdziwym. Jednakże, gdy z powodów zewnętrznych wypowiedzenie posłuszeństwa i utworzenie rządu naturalnego, co by samo w sobie było rozumne, nie obeszłoby się bez większego zła, roztropność polityczna nakazuje świadczyć wobec takiego rządu to, co jest wymagane dla umożliwienia normalnego funkcjonowania życia publicznego. Rozum, poczucie odpowiedzialności i sumienie nakazują też, dla uniknięcia większego zła, spełniać prawa nawet krzywdzące.

To jednak nie może pójść za daleko, bo Bogu należy oddać co Boskie, oraz „więcej trzeba słuchać Boga niż ludzi". Są granice, poza którymi lojalność wobec rządu znaczy grzech, obrzydliwe zabójstwo dusz, charakterów, a na dalszą metę zabójstwo narodu.

Własne państwo jest najwyższym wyrazem rozumnej wolności i woli narodu. Jest matką. Naród zmuszony żyć pod narzuconą administracją jest mniej lub więcej pozbawiony oddechu życia. Może spod niej uciec lub musi pod nią żyć. W obu możliwościach człowiek żyje w ucisku, i w obu albo się zahartuje, albo zmarnuje. Jeśli pójdzie za głosem Bożym i co jest Boskiego, duszę, umysł, serce, wolę, odda Bogu, jeśli w Nim położy nadzieję i będzie pracował mocno i nieustępliwie, jeśli w cierpliwości podejmie krzyż, dojdzie per aspera ad astra. Jeśli zaś odda cesarzowi także i to co się Bogu należy, jeśli się ugnie duchem i szukać będzie pociechy w tym co daje zapomnienie, jeśli będzie kierował się odruchami, jeśli zaniedba rodzinę i młode pokolenie, wtedy tyrański cesarz zwycięży. Uchowaj Boże!

Wynaturzone warunki polityczne winny skłaniać do myślenia, do rewizji pojęć, do rozsądku. A co najważniejsze, winny skłaniać do porzucenia fałszywych bogów, złych ideologii. Wielu Polaków zatruło swój umysł filozofią marksistowskiego socjalizmu i poszło za nim, gardząc Kościołem Bożym, z tą myślą, że marksizm walczy o wolność Polski i dobrobyt ludu. Jest to postawa fałszywa, płynąca z fałszywej diagnozy socjalizmu. Dnia 23 maja 1851 r. pisał Engels do Marksa co następuje: „Polacy mogą być użyci jako czynnik postępu tylko przez przeciąg jednej sekundy historycznej. Mogą się oni przyczynić do obalenia caratu przez powstanie narodowe. Ale skoro tylko to zostanie osiągnięte, nie ma racji, by Polska istniała." Linia, jaką Engels proponuje w stosunku do Polski jest następująca: „Niech Niemcy zabiorą od zachodu co zechcą lub mogą, ludzi niech użyją na mięso armatnie a kraj ich pożrą."

Nasza orientacja winna być Boża. Bezwstyd lub niemoc mocarstw mogą być takie, jakie są, ale Bóg i Jego Kościół to wieczność. Z Bożymi więc mocami zawrzyjmy przymierze i zaufajmy opiece Królowej Polski. Dusz nie sprzedajmy. Zaufajmy, to znaczy, wkładając pełny wysiłek rozumu i woli, zdobywając cnotę chrześcijańską, ufajmy, że Bóg w czasie stosownym dozwoli nam Ojczyzny wolnej. Amen.

ŻYCIE KATOLICKIE

MODLITWA O POWOŁANIA KAPŁAŃSKIE

Ze wszystkich krajów katolickich słychać wciąż głosy wielkiej troski o powołania kapłańskie, bo dający się odczuwać coraz bardziej brak księży utrudnia lub wprost uniemożliwia opiekę duchową nad wiernymi: normalne szafarstwo Sakramentami św., szukanie owiec zbłąkanych, wspieranie wątpiących. Obecny Ojciec św. słyszy te wszystkie głosy i stara się różnymi sposobami zaradzić. Jego starania idą w dwu kierunkach: o świętość kapłanów i o zwiększenie ich liczby. Już jako kardynał sekretarz stanu Piusa XI zakończył swe przemówienie o Dziele Powołań Kapłańskich dla diecezji Rzymu modlitwą, by kapłani byli „aniołami czystości... aniołami miłości... aniołami światła... aniołami ofiary... aniołami rady i pokrzepienia... aniołami łaski... aniołami pokoju". Jako papież stale troszczy się o świętość kapłanów, czego wyrazem stała się wśród wielu przemówień, pism i czynów Zachęta do Duchowieństwa „Menti Nostrae" z 23 września 1950. Wyrazem zaś troski o nowe powołania stały się m. in.: ustanowienie przy św. Kongregacji Seminariów i Uniwersytetów Papieskiego Dzieła Powołań Kapłańskich, motu proprio z 4 listopada 1941, i obecnie ułożona modlitwa, obdarzona odpustem 10 lat za jednorazowe odmówienie i odpustem zupełnym pod zwykłymi warunkami za odmawianie codzienne przez cały miesiąc.

WIELKIE DATY 100-LECIA W LOURDES

W ciągu roku jubileuszowego 1958 odbędą się w Lourdes wielkie uroczystości. O ich datach już zawczasu powinni wiedzieć ci wszyscy, którzy wybierają się w tym roku do największego sanktuarium Maryjnego na świecie, a także i ci, którzy zechcą łączyć się w modlitwie z rzeszami, jakie przybędą do Lourdes, by złożyć hołd Pani z Groty. Podajemy poniżej daty najważniejszych uroczystości:

8, 9, i 10 lutego — Triduum przygotowawcze.

11 lutego — Rocznica pierwszego ukazania się Matki Boskiej — **Otwarcie roku jubileuszowego w Lourdes.**

18 lutego — Uroczystość św. Bernadety Soubirous.

21, 22, 23 i 24 marca — Wielkie pielgrzymki krajowe i diecezjalne Akcji Katolickiej z całej Francji.

25 marca — Święto Zwiastowania N. M. P. — setna rocznica dnia, w którym Matka Boska powiedziała, że jest Niepokalanym Poczęciem — Poświęcenie bazyliki św. Piusa X.

8 - 12 kwietnia — Międzynarodowa pielgrzymka chorych.

6 - 8 czerwca — Międzynarodowa pielgrzymka lotników.

14 - 15 czerwca — Międzynarodowa pielgrzymka żołnierzy.

4 - 7 sierpnia — Międzynarodowa pielgrzymka głuchoniemych.

18 - 22 sierpnia — Narodowa pielgrzymka Francuzów.

10 - 17 września — Międzynarodowy Kongres Maryjny.

6 - 11 października — Pielgrzymka różańcowa.

11 listopada — Kongres narodowy francuski „Pax Christi".

Jak już wiadomo z afiszów i ogłoszeń w prasie, w roku 1958 udadzą się z Wielkiej Brytanii 2 pielgrzymki polskie organizowane przez Instytut Polski Akcji Katolickiej w Londynie. Pierwsza z nich uda się samolotem na dni 22 do 25 marca i weźmie udział we wspaniałych uroczystościach, na które przybędzie do Lourdes legat papieski, J. Em. ks. kardynał Roncalli, patriarcha Wenecji. Druga zaś będzie w Lourdes, jak coroczna pielgrzymka polska z Francji i z Anglii, w dniach od 14 - 17 sierpnia. Wobec olbrzymiego napływu pielgrzymów, których ilość oblicza się na 8 milionów, konieczne są wczesne zgłoszenia.

WYSTAWA HAGIOGRAFICZNA NA K. U. L.

Co roku Katolicki Uniwersytet w Lublinie urządza wystawy książkowe, których zadaniem jest podkreślić pewne problemy religijne, które w danym czasie są szczególnie ważne. Dorocznej tradycji stało się zadość i w roku bieżącym.

Tegoroczna wystawa KUL-u, nosząca nazwę „Święci polscy", poświęcona została książkom o Świętych polskich. Organizatorzy starali się zebrać materiały dotyczące wszystkich postaci Świętych i Błogosławionych, oraz tych osób, które zmarły w opinii świętości. W tym obszernym temacie organizatorzy wystawy postanowili szczególnie podkreślić postacie świętych niewiast polskich, które już zostały wyniesione na ołtarze, lub które otoczone są opinią świętości. Sylwetki świętych i świątobliwych niewiast polskich uwzględnione są w tegorocznych wykładach Uniwersytetu; drugim celem zwrócenia uwagi na te postacie było uwypuklenie wielkiej i błogosławionej roli świątobliwych kobiet w rozwoju polskiej kultury katolickiej. Kierownikiem wystawy jest główny bibliotekarz KUL-u o. Romuald Gustaw.

NAGRODY LITERACKIE

Fundacja Speath Foundation w Nowym Jorku przeznaczyła sumę 2.850 dolarów na nagrody za pięć najlepszych artykułów spośród tych, jakie ukażą się w pismach katolickich w czasie od 1 grudnia 1957 do 31 marca 1958. Artykuły muszą być na temat „Artysta nowoczesny wobec Kościoła", a więc omawiać różne aspekty sztuki nowoczesnej w służbie religii. Tylko te artykuły mogą wziąć udział w konkursie, które ukażą się w pismach uznanych przez Stowarzyszenie Prasy Katolickiej. Nagrody będą rozdzielone w ten sposób, że autorzy artykułów nagrodzonych otrzymają po 1.000, 500, 250, 100 i 50 dolarów, a wydawcy 500, 250, 125, 50 i 25 dolarów.

BESTSELLER AFRYKI POŁUDNIOWEJ

Jak w latach poprzednich, tak i w roku minionym w południowej Afryce Biblia jest książką, którą sprzedano w największej ilości egzemplarzy. W ten sposób południowa Afryka staje się czwartym z kolei krajem co do ilości sprzedanych książek Biblii, po Stanach Zjednoczonych, Niemczech i Wielkiej Brytanii. W południowej Afryce sprzedaje się Biblię w następujących językach: angielskim, arabskim, chińskim, hiszpańskim, holenderskim, japońskim, niemieckim, rosyjskim, włoskim, esperanto i różnych dialektach Bantu.

PRZYKŁAD MIŁOŚCI BRATERSKIEJ

Trzynastoletnia Anna Rosa Tisi w Cologno al Serio w północnych Włoszech od trzech lat opiekuje się siedmiorgiem rodzeństwa osieroconego przez śmierć matki. Ojciec jest inwalidą wojennym i nie może wykonywać cięższych prac. Dziewczynka nazywana jest „Aniołem".

MONSIEUR „SIBOUSKY"

Napisał **JAN CHMIELIŃSKI**

Umieszczone poniżej wspomnienie Jana Chmielińskiego jest jedną z prac, jakie znajdą się w zbiorowym wydawnictwie „WYSPIAŃSKI ŻYWY", które ukaże się w najbliższym czasie staraniem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie a nakładem Firmy B. Świderski. Książka ta będzie wyrazem hołdu złożonego przez pisarzy polskich na obczyźnie jednemu z największych geniuszy naszej literatury, STANISŁAWOWI WYSPIAŃSKIEMU — w pięćdziesiątą rocznicę jego śmierci. Wydawnictwo składa się ze wspomnień, esei i wierszy wybitnych pisarzy polskich przebywających na emigracji (dwa w nim tylko utwory należą do pisarzy obcych). Red.

Pierwsze moje wakacje w wolnej Polsce spędziłem nie w kraju ale na południu Francji. Lato 1921 r. było skwarne, ale po szarudze okresu „Wojenko, wojenko, cóżeś ty za Pani" — w której zresztą brałem nikły udział — Prowancja wydała mi się kwiecistym dywanem usłanym specjalnie w tym celu, aby po nim mogły deptać moje stopy młodego włóczęgi.

Olśniony bijącym w oczy światłem i kolorem, nakupiłem farb i klejtramów i — nie mając najmniejszego pojęcia o malowaniu, uwierzyłem, że można zostać malarzem z samego zachwytu nad światem.

Na jednym z moich postojów w przydrożnym zajeździe dowiedziałem się od oberżysty, że niedaleko, o jakieś dwa czy trzy kilometry, mieszka **un Polonais comme vous.**

Byłem szczerze zaintrygowany, co to za Polak może mieszkać w tym zapadłym kącie. Pomyślałem sobie: a nuż to jakiś malarz, i może od niego dowiem się, jak operować pędzlem i farbami. Zapytałem więc, jak do niego trafić.

Trzeba iść prosto, potem w lewo, **et puis vous n'avez qu' à demandez la maison de Mr. Sibousky — on vous renseignera.**

Nazwisko, niewątpliwie przekręcone, nic mi nie mówiło. Ruszyłem jednak raźno w drogę i w przeciągu pół godziny stanąłem przed furtką, na której w drewnianej ramce pod szkłem odnalazłem wypłowiałą wizytówkę z nazwiskiem: A d a m Ł a d a C y b u l s k i.

Zanim odważyłem się wejść, uprzytomniłem sobie, że to nazwisko nie jest mi obce. W latach mego dzieciństwa Cybulski był recenzentem teatralnym i siadywał w trzecim rzędzie na prawo w parterowych krzesłach, tuż za Adamem Krechowieckim. Zachowałem jego postać w pamięci wyraźnie — choć liczyłem wtedy najwyżej 10 czy 11 lat — bo on jeden miał zwyczaj stawać podczas pauzy tyłem do sceny i obserwować publiczność. A może chciał, aby podziwiano (bo uchodził wtedy za arbitra elegancji) jego nieposzlakowany gors, bujny popielaty krawat pod złocistą bródką, kwiat w butonierce i w złoto oprawny monokl, którym przewiercał coraz to inną piękność lwowską siedzącą w loży pierwszego piętra.

Kiedy tak w myślach cofnąłem się do dawnych lat, jednocześnie starałem się wymyszkować przez sztachety furtki, co też kryje się za wysokim murem, budowanym modą prowansalską z kładzionego kamienia, obrosłego już liszajem mchów i pnącego ziela.

Z prawej strony zobaczyłem profil skromnego domku-zaścianka, z bielonymi „na sino" ścianami, na których odbijały się żywo kolorowe malwy, jak u nas na wsi. Od samego domu aż do końca muru po lewej stronie ciągnął się ogród warzywny starannie plewiony i poprzecinany posypanymi żwirem ścieżkami. Na końcu jednej z nich zobaczyłem postać zażywnego mężczyzny ubranego w strój miejscowych farmerów: szeroki słomkowy kapelusz, koszula z wywiniętymi rękawami i wyblakłe granatowe portki z drelichu, trzymające się bez paska na dość wydatnym brzuchu.

Zastukałem kołatką w drzwiczki i usłyszałem dalekie: **„entrez"**, zapytałem po francusku, czy zastałem pana Cybulskiego w domu.

— **Mais oui — c'est moi — entrez donc.**

Porównałem jego nalaną twarz, siwiejącą bródkę, wymiętoszoną koszulę i wydeptane „espadrilles" do tamtej postaci lwowskiego eleganta i z dziwnie zażenowaną miną powiedziałem moje nazwisko.

Zauważyłem, że twarz mu się od razu rozjaśniła, i oczy nabrały blasku jakby brzmienie mego nazwiska trąciło go w jakąś czułą a zastałą strunę.

— Czy pan jest z tej samej rodziny co Józef Chmieliński z lwowskiego teatru? — Chłopicki z „Warszawianki", Wernyhora z „Wesela"?

Kiedy powiedziałem, że jestem synem aktora, gospodarz od razu chwycił mnie pod ramię, ciągnąc w stronę domu.

— Cóż za miła wizyta — gość z Polski — syn pana Józefa znakomitego Wernyhory! U nas bardzo skromniutko, ale zaraz każę przynieść coś do picia i do jedzenia.

W dużej izbie, do której przechodziło się wprost z ogrodu, na środku stał sosnowy stół na krzyżakach, dokoła kuchenne krzesła, pod ścianą niski tapczan, nad nim kilimek, na kilimku karabela i jakiś stary „patrontasz", nad drzwiami do sąsiedniego pokoju obraz Matki Boskiej Częstochowskiej z płonącą lampką, na stole gliniany dzbanek na wodę. Wszystko to wydawało mi się jakby znane, chociaż byłem tu pierwszy raz. Znane, ale chyba nie z życia, lecz ze sceny. No tak... to przecież dekoracja „Wesela" Wyspiańskiego!

Złudzenie, podyktowane wyobraźni być może wspomnieniem imienia Wernyhory, było tak silne, że już prawie czekałem (jak mnie tylko poprosił, abym usiadł przy stole) na słowa: „żona stroi się w alkierzu" — kiedy właśnie od strony „alkierza" weszła kobiecina wyglądająca na typową wiejską gosposię, którą mi pan domu przedstawił jako swoją „panią".

Czułem się coraz bardziej oszołomiony podobieństwami. Oto „Gospodarz", pan miastowy choć niby z chłopska się noszący — nie po bronowicku wprawdzie tylko po prowansalsku — oto „Gospodyni", niewątpliwie chłopka z polskiej wsi, i ta chata, choć nie rozśpiewana, ale jakaś urzekliwa swoim podobieństwem do sceny, jakby czekająca na weselisko i na przyjście Racheli w czerwonym szalu.

Instynktownie spojrzałem przez muślinowe firanki okna, czy nie zobaczę w sadzie pokrytych słomą krzaków. Ale nie. Za oknami panował skwar lata i cisza. Choćbym nie wiem jak „wytężał słuch" nie usłyszałbym nic prócz brzęczenia owadów i gruchania gołębi.

A przecież w uszach dźwięczały mi uporczywie strofy:

Ach, ta chata rozśpiewana
Jakby w niej słowiki dźwięczą...
I te stroje, ukapane tęczą...

Strząsnąłem te majaki z siebie, gdy gospodarz zagadał do mnie, wypytując o Lwow, o teatr, o ojca. Ale znów tak jakby pytał słowami Czepca:

Cóż tam panie w polityce?
Chińcyki trzymają się mocno?

Kiedy wyczerpałem cały zapas wiadomości o rodzinnym mieście, z którego wyjechałem przed dwoma laty, z kolei zacząłem jego wypytywać, jak dawno wyjechał z kraju i co go skłoniło do osiedlenia się w tym zapadłym zakątku południowej Francji.

Zamiast mi odpowiedzieć wprost, zadał mi nieoczekiwane pytanie, czy pamiętam premierę „Wesela" we Lwowie.

Pochwaliłem się, że pamiętam doskonale (byłem już wtedy uczniem I-szej gimnazjalnej), i że pamiętam nazwiska wszystkich aktorów, którzy brali udział w „Weselu". Mówiłem jak to Franciszek Wysocki nie mógł sobie dać rady z maską Stańczyka i jak mu ojciec pomagał w charakteryzacji według obrazu Matejki, i jak on sam zrobił się na Wernyhorę według matejkowskiego wzoru i jak potem wyrzeźbił siebie w tej roli i ofiarował tę rzeźbę do Muzeum Miejskiego. A potem mówiłem mu, jak to Wyspiański był u nas w domu na obie-

dzie po premierze „Wesela", i jak nam się wydał zupełnie inny od wszystkich pisarzy, którzy u nas bywali, i jak zasadniczo różny swoim milczeniem od częstego u nas gościa Lucjana Rydla, znanego gaduły.

A potem opowiedziałem mu o innej sztuce — a mianowicie o premierze „Wyzwolenia" we Lwowie — o czym mój gospodarz nie wiedział.

Był to chyba r. 1904 czy 1905. Do Lwowa przyjechał jakiś nieznany literat z Krakowa, entuzjasta Wyspiańskiego i namawiał bezskutecznie dyrekcję teatru na wystawienie „Wyzwolenia". Kiedy wszystkie jego zabiegi spełzły na niczym, przyszedł do mego ojca z propozycją czytania „Wyzwolenia" publicznie. Ojciec mój, wielbiciel Wyspiańskiego od pierwszej roli, jaką grał w „Warszawiance", zapalił się do tego projektu. U nas w domu odbywały się próby „czytanego" spektaklu, w którym role zostały rozdane w ten sposób, że Tarasiewicz czytał Konrada, a ojciec na spółkę ze znanym na terenie Lwowa recytatorem Krzyżanowskim pozostałe role.

„Premiera" odbyła się w dużej i bardzo szpetnej sali Domu Kolejarzy przy ulicy Gródeckiej. Przed symbolicznym podniesieniem kurtyny, której na sali nie było, ów krakowski literat wygłosił odczyt, objaśniający idee dramatu. Całą dekorację stanowił stół na estradzie z dwoma świecznikami i trzy krzesła. Tarasiewicz-Konrad siedział naprzeciw publiczności, Krzyżanowski i ojciec po bokach. Sala była pustawa, publiczność premierowa, znana mi z teatru — zawiodła. Większość publiczności stanowili kolejarze i trochę młodzieży.

„Wyzwolenie" uchodziło wówczas jeszcze za sztukę mglistą, a niemało do tej opinii przyczyniła się kursująca po Lwowie broszurka, której autorstwo przypisywano Rudolfowi Starzewskiemu, późniejszemu redaktorowi krakowskiego „Czasu". Zaczynała się ona słowami:

Idę z daleka, nie wiem skąd,
Pozad i nazad czuję swąd.

a kończyła:

Jedna maska
drugą trzaska.
I bardzo z tego rada
Że kurtyna spada.

Odeszliśmy od „Wesela", ale mój gospodarz podjął temat na nowo.

— Pytał mnie pan, co mnie skłoniło do osiedlenia się tutaj. A no, właśnie, wszystko zaczęło się od premiery „Wesela". Są ludzie, którym jedno wstrząsające przeżycie wystarcza, by zmienić całkowicie ich dotychczasowy stosunek do przeszłości i kazać zacząć życie nowe. Otóż dla mnie takim przeżyciem była premiera „Wesela". Wszystko, co pisałem dotychczas, wszystkie moje esseje o niemieckich i austriackich pisarzach, wydały mi się pustą gadaniną, a całe moje życie pozowaniem na literata za ojcowskie pieniądze. Nie czułem się powołany do Czynu, o jaki wołali Mickiewicz i Wyspiański, obce mi były ambicje „rządu dusz". Ale czułem, że muszę czymś wypełnić pustkę modnego wówczas dekadentyzmu, i postanowiłem dać poznać Wyspiańskiego światu, przetłumaczyć na język francuski, język całego cywilizowanego świata, wszystko co Wyspiański napisał i jeszcze napisze.

Wróciłem do Krakowa, potem na wieś do rodziców. Każda nowa rzecz wydana przez Wyspiańskiego utwierdzała mnie w moim postanowieniu i umacniała przekonanie o jego geniuszu.

— Ale w kraju robota jakoś mi nie szła. Mimo że znałem język francuski tak mi się zdawało na równi z polskim, spostrzegłem się zawczasu, że to znajomość zbyt powierzchowna na to, by oddać w tym języku wszystkie karkołomne dla tłumacza swoistości stylu Wyspiańskiego, odrębność i bogactwo języka — od rubasznej gwary do helleńskiego patosu. Postanowiłem wyjechać do Francji, żyć wśród Francuzów, grzebać w bibliotekach, myśleć tylko po francusku.

Gdy wybuchła wojna, życie w Paryżu stało się niemożliwe, zanadto nerwowe, pochłaniające samymi wypadkami i niepewnością jutra. Przeniosłem się na południe, kupiłem za resztki spieniężonej ojcowizny ten kawałek ziemi z chałupą i zacząłem tłumaczyć.

Nie dochodziły tu do mego odludzia odgłosy wojny, zresztą — „niech na całym świecie wojna"... Ta wieś dawała mi spokój, którego mi było trzeba do pracy. Z konieczności nastawiłem się na życie, jak najprostsze, bez wymogów, a z tego ogródka mam nawet trochę grosza, bo raz na tydzień wysyłam jarzyny na targ do Nicei.

Przeszliśmy do pokoiku obok, który był pracownią gospodarza. Jedyne umeblowanie to duży stół zasłany papierami, półka z książkami i jedno krzesło. Na ścianie jedyny obraz — litografia afisza zrobionego przez Wyspiańskiego do sztuki Maeterlincka „Wnętrze".

Przyszło mi na myśl, że ten afisz to także jakby akcesorium „Wesela", bo przecież do dziewczynki z afisza, która z przylepionym do szyby noskiem patrzy na dramat „Wnętrze", pozowała jedna z córek państwa Pareńskich, uwieczniona w „Weselu" jako Zosia, córka Radczyni — późniejsza żona Boya-Żeleńskiego.

— Tutaj jest mój warsztat. Zacząłem od „Wesela". Oto egzemplarz — jak pan widzi wydany przez Nouvelle Revue Française. Mam już ukończone i gotowe do druku „Wyzwolenie", „Klątwę", „Sędziów", „Protesilasa i Laodamię", „Meleagra", „Akropolis", „Bolesława Śmiałego", a teraz męczę się nad „Legendą", chyba najtrudniejszą do tłumaczenia. Próbowałem naprzód przekładać wierszem, aby oddać muzykę stylu Wyspiańskiego. Ale próby zawiodły. Oddanie wiernego przekładu krótkozgłoskowcem, którego Wyspiański najczęściej używa, stało się trudnością nie do pokonania w języku francuskim. Przeszedłem więc na prozę poetycką i tylko to, co w tekście jest śpiewane, np.: „A jak będzie słońce i pogoda" i „Miałeś, chłopie, złoty róg" — tłumaczyłem wierszem.

Byłem zdumiony tym ogromem pracy i całkowitym wyrzeczeniem się tzw. osobistego życia dla jednej idei czy też magii. A jednocześnie zaniepokoiłem się rezultatem tego wysiłku. Bo czy można sobie wyobrazić Wyspiańskiego pozbawionego wszechwładnie w jego utworach panującej muzyki? Zresztą w chwili, kiedy rozmawiałem z Ładą Cybulskim w jego domu, przeniesionym ze sceny lwowskiego teatru na pejzaż południowej Francji, bardziej niż teksty jego maszynopisów interesowała mnie osoba gospodarza i dzieje jego wewnętrznej przemiany.

Jak olbrzymie wrażenie musiało na tym człowieku wywrzeć „Wesele", jeśli rzucił całą swą beztroską przeszłość pięknoducha, od jakich roiło się w Polsce w okresie przybyszewszczyzny, (sam Przybyszewski nadał temu typowi **Schöngeistów** botaniczną nazwę **gladiolus tavernalis** — czyli mieczyk kawiarniany) i oddał się mniszej pracy w tej prowansalskiej chałupie, mając przed sobą tylko jeden cel: dać poznać Wyspiańskiego światu.

Ta teatralna „chata rozśpiewana", ta żona, baba wiejska, to noszenie się z chłopska, a nawet ten kawałek ziemi, który obrabiał motyką, stwarzały atmosferę jakby najbliższą tej, w której żył Gospodarz z „Wesela" — aby się w niej działy rzeczy „osobliwe".

Było to moje jedyne spotkanie z panem Ładą Cybulskim, ale nie ostatnie z jego nazwiskiem.

W jakieś dwa lata później zetknąłem się w pracowni Leopolda Gottlieba, z którym żyłem w przyjaźni, z panem Bon, profesorem Sorbony. Pozując autorowi słynnej „Teki Legionów" do portretu, profesor zabawiał nas rozmową o literaturze polskiej, którą żywo się interesował (był ożeniony z Polką), a na pożegnanie wręczył mi bilety na premierę w nieznanymi mi „Théatre de Madame Lara". Na biletach wyczytałem nazwę sztuki:

„LES NOCES" de Stanisław Wyspiański
traduit du polonais par Adam Lada Cybulski.

Pani Lara, jak się dowiedziałem, była ongiś aktorką Comédie Française, ale po wyjściu za mąż za bogatego przemysłowca, opuściła scenę i założyła szkołę dramatyczną we własnym domu w dzielnicy Montparnasse, z własną sceną, którą urządziła na strychu swego domu.

Kiedyśmy się wdrapali z panem Bon na strych, salka nie mieszcząca więcej niż 150 miejsc była szczelnie wypełniona. Program podawał nazwiska aktorów, w większości uczniów pani Lara. Przed podniesieniem kurtyny jakiś młody człowiek powiedział parę słów o autorze i sztuce, przepraszając publiczność z góry za kostiumy z bibułki, ale teatr jest niezasobny, więc robi co może, poza tym — dodał — sztuka jest symboliczna więc i kostiumy mogą być symboliczne.

Muszę przyznać, że z niemałym osłupieniem słuchałem tej perory, przewidując niechybną „klapę". Jak to? „Wesele" prozą, kostiumy z papieru, aktorzy niedopieczeni, teatr zrobiony ze strychu, a na widowni młoda, rozbawiona i jak najbardziej do kpiącej krytyki skłonna awangardowa publiczność Montparnassu?!

Ale gdy podniosła się kurtyna, sala zamilkła i zaczęła słuchać w skupieniu. Dla tych kilku Polaków będących na sali, którzy mieli w pamięci świetne inscenizacje i znakomitych aktorów scen polskich, pierwsze wrażenie było raczej przygnębiające, ale już po chwili zaczynała działać magia. Z kostiumami — okazało się — nie było tak źle, bo tylko postacie wizyjne z drugiego aktu miały strój „symboliczny" zapowiedziany na wstępie. Drugi i trzeci akt, mimo wszystkich braków sceny, robił wstrząsające wrażenie.

Z rozmów, jakie mieliśmy po spektaklu z panem Bon, zapamiętałem jedno zdanie:

— Nie znam innych utworów Wyspiańskiego, ale, sądząc po tej sztuce, jest to talent na miarę Szekspira.

To jedno zdanie przytoczyłem w moim liście do pana Łady Cybulskiego po premierze paryskiego „Wesela". Zdaje się, że zdanie to było niestety jedyną nagrodą tłumacza za jego kilkunastoletnią wierną służbę Wyspiańskiemu.

Nakłady jego przekładów: „Wesele" wydane przez Nouvelle Revue Française, „Sędziowie" i „Klątwa" przez Edition Stock, „Protesilas i Laodamia" przez Perrin i „Warszawianka" przez Le Monde Nouveau — nie znalazły nabywców. Książki szybko zeszły z półek księgarskich i zalegając piwnice wydawców, stały się makulaturą.

Kiedy w Paryżu otworzono polską księgarnię na Boulevard St. Germain, jej ówczesny kierownik, p. Aleksander Krawczyński, razem z pisarzem i krytykiem p. Rogożem zabiegali w ambasadzie polskiej o fundusze na wykupienie nakładów, którymi może zdałoby się ponownie zainteresować paryskie księgarnie. O ile wiem, zabiegi te były bezowocne. Może doradcy literaccy ambasady (było to jeszcze przed stworzeniem referatu kulturalnego przez Lechonia) uważali przekład za nie dość dobry, aby ryzykować oficjalne fundusze.

Marzenia Adama Łady Cybulskiego nie spełniły się. Wyspiański nie stał się własnością całego świata. Pozostał tym, kim chciał być za życia: spadkobiercą naszych wieszczów. Dzieła, które pisał dla narodu, zdobyły Wyspiańskiemu imię Narodowej Wielkości.

Jan Chmieliński





STANISŁAW WYSPIAŃSKI złożył hołd macierzyństwu w wielu swoich pięknych rysunkach. Podajemy tu dwa rysunki z tego cyklu.

POLACY W ŚWIECIE

ŚWIĘCENIA KAPŁAŃSKIE B. WIĘŹNIA NR 80 W OŚWIĘCIMIU

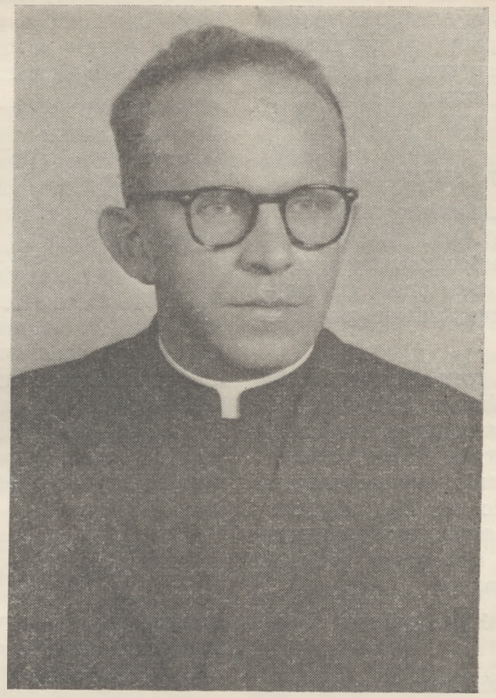
Polacy rozsiani po świecie wołają o księży, o polskich księży woła Brazylia, woła Australia i inne dalekie kraje. Toteż każde nowe święcenie kapłańskie — to prawdziwie ważne wydarzenie w polskim emigracyjnym życiu katolickim i nie można mu nie poświęcić uwagi, tym bardziej, że drogi do tych święceń wiodły przeważnie długim i niełatwym szlakiem. Już dwunastu tak zwanych „chłopców z Polski", którzy znaleźli gościnę, naukę i opiekę w Seminarium Polskim w Orchard Lake, Mich., zostało księżmi. Większość z nich przeszła przez Syberię, przez głód, chłód i poniewierkę wygnańczą, przewędrowała przez Persję, Indie, zanim dostała się do Ameryki.

„Chłopiec", dwunasty z rzędu, ks. Władysław Wolko nie trafił do ziemi „nieludzkiej", bo pozostał w Polsce, nie ominął go za to obóz śmierci w Oświęcimiu, gdzie spotkał Ojca Maksymiliana Kolbe. Pod wpływem jego heroicznej postawy i śmierci więzień nr 80 postanowił poświęcić się służbie Bożej, chociaż od lat chłopięcych marzył o tym, by zostać inżynierem, znaleźć się w obrębie oszałamiających swoją niezwykłością zjawisk nowoczesnej techniki. Pociągały go one tak silnie, że chociaż ukochana matka powiedziała mu przed śmiercią jak bardzo pragnie, żeby został księdzem, nie mógł się wówczas — jako kilkunastoletni wyrostek — na to zdecydować. Przykro mu było matkę zasmucić, lecz wyznał jej szczerze, iż w inną zupełnie ciągnie go stronę, a gdyby — mimo to — Pan Bóg zechciał powołać go do stanu kapłańskiego, to musiałby wtedy zostać misjonarzem... bo tam trzeba wielkich poświęceń...

W obozie śmierci doszedł jednak do przeświadczenia, że na nic się zda choćby największy postęp techniczny bez równoczesnego postępu w życiu moralnym, i bez prawdziwej miłości bliźniego. Okrucieństwa Niemców w obozie i cierpienia więźniów oświęcimskich powiedziały mu o tym, jak wiele trzeba miłości dać światu, aby uratować go od działania nienawiści...

Z obozu ledwie uszedł z życiem, zapadał tam ciężko na zdrowiu i tak bardzo był wyczerpany, że przez długi czas nie pamiętał własnego nazwiska. Ratowali go jak mogli towarzysze więzienni i przyjaciele, między którymi był także obecny polski biskup w Rodezji o. Adam Kozłowiecki.

We wrześniu 1941 roku więzień nr 80, czyli „Władziu" — jak go przeważnie wśród swoich nazywano — zostaje przeniesiony do więzienia w Katowicach, a potem poznaje kolejno więzienia: w Zabrzu, Bytomiu, Sosnowcu i Rawiczu, skąd Niemcy wywożą go znów do obozu koncentracyjnego, tym razem do Mauthausen, a następnie do Gusen, gdzie spotyka ks. proboszcza Ludwika Bielerzewskiego, który dobrowolnie został w obozie, podając się za ogrodnika, by nieść pomoc duchową więźniom, gdy innych księży-więźniów wywieziono do Dachau. „Władziu" chętnie rozmawia z dobrym „ogrodnikiem" i te rozmowy umacniają w nim wolę poświęcenia się służbie Bożej, jeśli tylko Bóg pozwoli mu wyjść z rąk niemieckich cało...



Bóg pozwolił, ale „Władziu" nie prędko doczekał się święceń. Już po otwarciu bram obozów koncentracyjnych przez wojska amerykańskie, więzień nr 80 zostaje na miejscu, by pomagać innym. Pomaga zorganizować na nowo szpital obozowy, potem razem z innymi ludźmi dobrej woli zajmuje się tam dziećmi, wtrąconymi przez Niemców na przeszkolenie do obozu śmierci. Wymagają one teraz niezwykle troskliwej pieczy; trzeba było także zorganizować Polską Misję Katolicką, która by roztoczyła duchową opiekę nad byłymi więźniami w tym rejonie. Dopiero po zajęciu obozu przez wojska bolszewickie trafia „Władziu" do Rzymu, gdzie wstępuje do nowicjatu oo. jezuitów w Gallaro, lecz z powodu zupełnego wyczerpania obozami musi opuścić nowicjat. Po nabraniu ponownym sił zostaje przyjęty do Papieskiego Kolegium w Rzymie, kończy w ciągu trzech lat filozofię i otrzymuje stopień magistra na Uniwersytecie Gregoriańskim, by rozpocząć następnie studia teologiczne i po dwóch latach zdobyć bakalaureat św. Teologii. Podczas Roku Świętego otrzymuje tonsurę i cztery niższe święcenia dla Archidiecezji Poznańskiej. Kończy studia w Paryskim Instytucie Katolickim, a wreszcie trafia do Stanów Zjednoczonych Ameryki, najpierw do seminarium duchownego w Gary (Indiana), potem do Orchard Lake, Mich. Jest tam przeznaczony do referatu prasowego i w lipcu 1956 roku ma przyjąć święcenia kapłańskie, jednak plan ulega zmianie wobec śmierci ks. rektora Szumali. Ulega zwłoce i uzyskanie święceń, krzyżują się i wikłają różne inne plany. „Władziu" nie zaraz się zdecydował na służbę Bożą i nie od razu jest do niej przyjęty. Zapewne jest w tym ręka Opatrzności, że dostaje się wreszcie do diecezji misyjnej. Jest obecnie w diecezji Amarillo, stanu Texas. Powiada, że chyba go Pan Bóg wziął za słowo wówczas, gdy jako chłopiec odgrażał się, że jeśli ma być księdzem — to tylko misjonarzem.

W dniu 24 września w katedrze Najśw. Serca Jezusa w Amarillo b. więzień nr 80 w Oświęcimiu, ks. Władysław Wolko, przyjaciel naszego pisma, otrzymał święcenia kapłańskie z rąk ks. biskupa Jana L. Markowsky'ego i dnia następnego odprawił swoją pierwszą Mszę świętą. Składamy mu z tej racji serdeczne życzenia.

KONCERT DLA CHORYCH W EPSOM

Angielski szpital w Epsom mieści 1000 chorych umysłowo ludzi a między nimi kilkuset Polaków. Są to przeważnie ofiary ostatniej wojny, inwalidzi wojenni o różnym stopniu zmącenia umysłu, niektórzy mniej, inni całkowicie anormalni, nie trzeba mówić o tym jak bardzo wszyscy są nieszczęśliwi. Każdy pomysł rozjaśnienia im życia, zabawienia ich, dostarczenia im od czasu do czasu innych wrażeń, będzie zawsze aktem głęboko ludzkim, co potwierdza w całej pełni reakcja chorych na wszelkie imprezy muzyczne, taneczne, czy śpiewacze, urządzane w tym szpitalu. Polskie zespoły, które jeżdżą do Epsom w celu dania godziwej rozrywki chorym — opowiadają, że są oni najbardziej wdzięcznymi, jakich można sobie wyobrazić widzami, czy słuchaczami. Radują się jak dzieci, oczy im się śmieją, siedzą jak trusie, nie przerywają niewczesnymi brawami, a za to kiedy dany numer programu się skończy, zrywa się burza, prawdziwy huragan oklasków.

Gdy dowiedzą się, że polscy śpiewacy, tanecznicy, czy muzycy mają ich odwiedzić, całymi grupami — wymyci, wyczyszczeni, wypucowani czekają przy wejściu, doczekać się nie mogą, bo przychodzą z reguły za wcześnie. A po skończeniu imprezy tak miło dziękują, tak proszą, żeby jeszcze przyjechać.

Polskie imprezy w Epsom urządzane są w porozumieniu z opiekunem chorych narodowości polskiej, p. Kazimierzem Weese; organizatorką ich jest p. Stefania Niekraszowa. Szpital ma obszerną salę teatralną i warunki do występów odpowiednie.

Ostatni koncert odbył się w Epsom 9 listopada.

Pieśń polską reprezentował 40-osobowy chór mieszany im. F. Chopina (b. Chór Wojska Polskiego), pod świetną batutą p. Z. Gedla.

Koncert rozpoczęto „Hasłem" F. Szopskiego, pieśnią „Do jasnych warkoczy" W. Lechmana i wiązanką góralską na chór męski.

Chór mieszany wykonał piosenkę „Dudziarza" I. Paderewskiego, „Żal" F. Chopina.



Basia Szagonówna i Kostek Siemaszko.

„Barcarolę" z opery „Casanova" Ludomira Różyckiego, oraz „Ruciany wianek" w formie wiązanki pieśni ludowych, doskonale polifonicznie opracowanych przez dyrygenta Z. Gedla. Z jakichś — z pewnością interesujących — choć nie ujawnionych racji — chorych słuchaczy wstrząsnęła najbardziej „Barcarola": oklaskiwali ją najdłużej i najgoręcej.

Polscy słuchacze silnie przeżywali utwór na chór męski „Stepy Akermańskie" A. Orłowskiego, na tle poematu Adama Mickiewicza, opiewającego tęsknotę do piękna Wileńszczyzny. Solowe partie tej pieśni wykonał młody tenor Artur Poznański, który wstępnym bojem zdobył entuzjazm całego, międzynarodowego audytorium. Walory pięknego głosu i umiejętność operowania efektami tajemnic wokalnych, oraz emocjonalność interpretacji wykazał A. Poznański w pieśniach solowych polskich, włoskich i angielskich, przy akompaniamencie doskonałej kameralistki p. H. Pawłowiczowej.

Audytorium wykazało też wielkie wyczucie humoru zawartego w naszych piosneczkach ludowych, jak: „Pije Kuba do Jakuba", „Przestroga", „A ja sobie podrygom" i in.

Barwną i efektowną niespodzianką były dla widzów w Epsom „Tańce opoczyńskie" w oryginalnych strojach ludowych, wykonane przez uroczą Basię Szagonównę i Kostka Siemaszko, prezesa zespołu pieśni i tańca „Opoczno". Tańce opracowano pod artystycznym kierunkiem baletmistrza Józefa Walczaka, niedawno przybyłego z Kraju.

P. Kazimierz Weese przemówił na początku i na końcu imprezy do audytorium (w dwóch językach: polskim i angielskim) w słowach pełnych humoru i dowcipu, skwitowanego wesołymi oklaskami. Chorzy łakną widać wszystkiego, co jest wesołe, a więc dalekie od ich nieszczęścia.

Dyrekcja szpitala nie żałowała artystom sutego poczęstunku i słów podzięki na pożegnanie.

Korwin

K S I Ą Ż K I

O WYSPIAŃSKIM DLA WSZYSTKICH

Przed kilku laty cieszyło się w Londynie niespodziewanym powodzeniem „Wesele" Wyspiańskiego, wystawione siłami polskiej młodzieży gimnazjalnej, uczęszczającej na kursy literatury i historii ojczystej. Urok i słowa dramatu Wyspiańskiego oraz szczery zapał młodych wykonawców sprawiły, że przedstawienie to powtarzano szereg razy, przy nabitej sali. W zeszłym roku wystawiła „Wesele" młodzież polska w Chicago, dając znów głębokie artystyczne przeżycie paru tysiącom rodakom. To ostatnie doświadczenie zapewne skłoniło Szczepana K. Zimmera do napisania i wydania własnym nakładem niewielkiej, lecz cennej książeczki o Wyspiańskim*), która ukazała się niedawno, na kilka miesięcy przed przypadającą w dniu 28 listopada bież. roku 50 rocznicą zgonu poety.

Tu zdradzę, że autor tego szkicu biograficznego, poświęconego życiu i twórczości Wyspiańskiego, jest zamiłowanym polonistą i pedagogiem, który po pierwszej wojnie światowej studiował na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie pod kierunkiem profesorów Bruchnalskiego, Kleinera i Kucharskiego. Po ostatniej wojnie pamięta go wielu z nas jako zasłużonego organizatora i kierownika szkolnictwa polskiego w Niemczech, skąd udał się do Stanów Zjednoczonych i zamieszkał w Chicago.

W siedmiu rozdziałach ukazuje autor czytelnikowi kolejno dzieciństwo i lata szkolne Wyspiańskiego, jego studia ogólne i malarskie i „narodziny poety", rozwijającego swój wielki talent w atmosferze Krakowa, ówczesnej duchowej stolicy podzielonej Polski.

W osobnym rozdziale omawia Zimmer rolę „Wesela" w literaturze, teatrze naszym i życiu narodu, jako tego dzieła, które jednoczyło kulturalnie Polaków ze wszystkich zaborów i przygotowywało ich do niepodległości zjednoczonej ojczyzny. Najbardziej twórcze lata Wyspiańskiego — to okres, w którym stara się on wskazać rodakom, iż sztuka nie jest czymś oderwanym od życia, że ma ona w nie wejść, nadać mu artystyczny wyraz, uczynić je pięknym, że ma ona służyć całemu narodowi. Książeczkę zamyka posłowie autora, wypełnione modlitwą Konrada z „Wyzwolenia": „O Panie, pokutę przebyłem..." i zakończone wezwaniem do społeczności emigracyjnej, aby w 50-tą rocznicę zgonu Wyspiańskiego złożyła mu należny hołd i przypomniała „najwyższe wartości, co po Mickiewiczu Wyspiańskiemu oddały na długie lata rząd dusz nad narodem, a w chwili obecnej są niemniej żywotne jak przed pięćdziesięciu laty".

Każdy rozdziałek książeczki poprzedza motto z dzieł poety, a na końcu dano „Hymn Veni Creator", oraz związane z tym utworem Wyspiańskiego żarliwe o nim wspomnienie Stefana Żeromskiego, napisane w roku 1905.

Książeczkę chętnie weźmie do ręki każdy, komu jest droga twórczość narodowa, będzie ona też wprost niezastąpioną pomocą dla wszystkich urządzających wieczory poświęcone Wyspiańskiemu.

Szkoda tylko, że tak starannie wydana praca nie jest wolna od paru uchybień językowych i usterek korektorskich, które trzeba jednak przypisać temu, że książka była drukowana w Niemczech.

Jot.

---

*) **Szczepan K. Zimmer: STANISŁAW WYSPIAŃSKI — Szkic biograficzny.** Nakładem autora wydał Dr L. Sanicki w Essen — 1957. Str. 56, 10 reprodukcji i 7 motywów zdobniczych Wyspiańskiego. Cena 5 szyl.

ŻYCIE MIĘDZYNARODOWE

EISENHOWER ODPIERA ATAK

Rok temu, w listopadzie 1956, Eisenhower został ponownie wybrany większością prezydentem Stanów Zjednoczonych. Wszystko zdawało się mu sprzyjać, przede wszystkim trwająca „prosperity", oraz niewzruszone, jak się wydawało, przodownictwo Ameryki wśród państw świata. Wkrótce jednak poczęły zbierać się chmury — i dzisiaj, po raz pierwszy w pięcioletnim okresie, pozycja jego wewnątrz kraju uległa jakby zachwianiu. Bez silnego oparcia żaden prezydent Stanów przy tamtejszym systemie konstytucyjnym „hamulców i przeciwwag" nie może skutecznie sprawować rządów. Eisenhower musi odzyskać teren stracony, bo inaczej dostać się może w ciężkie tarapaty.

Do odegrania pozostaje mu tylko kilka tygodni, brakujących do początku 1958 roku, kiedy zbierze się Kongres. Mobilizują się tam siły przeciwników, pragnących poprzez Eisenhowera ugodzić w partię republikańską. Premier brytyjski Macmillan, w czasie swego pobytu w Wanszyngtonie, miał wyrazić się w prywatnej rozmowie żartobliwie, że Eisenhower znajduje się wobec parlamentu w podobnie ciężkiej sytuacji jak król Karol I, gdyż bez zgody Kongresu nie może zmienić ustawy atomowej. Na tym analogia kończy się na szczęście, gdyż Karol I posłany został przez Cromwella na ścięcie — podczas gdy nowoczesne demokracje mają sposoby politycznego uśmiercania, fizycznie łagodniejsze.

Nie zawsze wystarcza zmysł umiarkowania. Kiedy rok temu miliony wyborców amerykańskich rzucały swój głos na Eisenhowera, czyniły to z pełną świadomością, że człowiek ten ma poza sobą dwie ciężkie choroby i że musi się podporządkowywać wymaganiom lekarzy; sam mówił o tym nieraz społeczeństwu. Mimo to wygrał wybory, gdyż ucieleśnił ducha umiarkowania i „drogi pośredniej", której pragnęli Amerykanie zażywający niebywałej „prosperity". Od prezydenta nie domagano się, by pobierał silne, stanowcze decyzje, ale raczej by łagodził istniejące przeciwieństwa i celował nadal w sztuce pośrednictwa.

Okazało się jednak już w pierwszym roku nowej kadencji Eisenhowera, że cnoty te nie wystarczają w trudniejszych okolicznościach, gdy trzeba się zdobywać na odwagę twardych, jednostronnych rozstrzygnięć, które same wypadki mogą narzucić. Eisenhower bywa wepchnięty w położenia, w których musi działać nawet wbrew swej woli. Tak było w związku z wydarzeniami w Little Rock, dokąd musiał wysłać wojska federalne, narażając się ludności stanów południowych, która w większości solidaryzuje się niewątpliwie ze stanowiskiem gubernatora Faubusa. Jest to bodaj najradykalniejszy krok w polityce wewnętrznej Stanów, od lat prawie stu, to jest od wojny domowej, ale Eisenhower nie mógł inaczej postąpić.

W zakresie zewnętrznym na czoło wybijają się sukcesy „rakietowe" Rosji, które zmuszają Amerykę do podjęcia rzuconej jej rękawicy i wzmożenia swych własnych wysiłków. Po pojawieniu się sowieckiego „sputnika" i wkrótce potem drugiego, w społeczeństwie amerykańskim zapanowało coś w rodzaju konsternacji i rozległy się głośne głosy krytyki na temat nieudolności dotychczasowych prac w Stanach Zjednoczonych, w szczególności ich nieskoordynowania. Zmusza to Eisenhowera nie tylko do usunięcia istniejących braków w dziedzinie organizacyjnej i personalnej, ale także — co jeszcze ważniejsze — do powiększenia budżetu państwowego, z czym związane będzie podwyższenie podatków, powiększenie długu państwowego i nieuniknione ingerencje rządu w życie gospodarcze kraju. Wyścig techniczno-zbrojeniowy z Sowietami pociągać też musi za sobą nowe zaostrzenie „zimnej wojny" i zacieśnienie węzłów Ameryki z jej sprzymierzeńcami.

W styczniu 1957 roku Eisenhower otworzył swą nową kandencję zapewnieniem, że będzie starał się wykurować świat z dręczącego go rozbicia. Dzisiaj, gdy Rosjanie okazali się znacznie większą groźbą, niż się to wydawało, prezydent Stanów Zjednoczonych musi zawierać pakty „rakietowe" z innymi państwami i rozbudować arsenały atomowe.

Zarzuty przeciwników. Ze strony polityków opozycyjnych i licznych publicystów wysuwana jest cała lista zarzutów. Zarzuca się Eisenhowerowi współodpowiedzialność za zaniedbania i błędy w organizowaniu najżywotniejszych dla bezpieczeństwa kraju badań naukowych i technicznych. Niektórzy — ale są też ludzie przeciwnego zdania — mają mu za złe niesprzeciwianie się usunięciu wybitnego uczonego atomowego Oppenheimera. Wysuwa się zarzut, że fundusze na „badania podstawowe" w Pentagonie zostały mocno obcięte. Zarzuca się też prezydentowi, że dopuścił do ulg podatkowych dla wielkich przedsiębiorstw, ulg, których łączna suma wystarczyłaby na sfinansowanie, bez trudności, całego programu rakietowego. Również, zdaniem oponentów, prezydent zaniedbał wkroczyć energicznie, gdy wśród poszczególnych rodzajów sił zbrojnych rozpętała się rywalizacja w zakresie produkowania rakiet, wskutek czego opóźniło się wykonanie programów. Twierdzi się także, że stracił kontrolę nad własną partią i skazany jest obecnie na poparcie demokratów, gdy chce przeforsować jakąś ustawę w Kongresie, co nie zawsze się udaje. Podczas ustalania budżetu państwowego prezydent, jak mówią przeciwnicy, sam wytwarzał największe zamieszanie.

Z zarzutami wypuszczenia lejc z rąk łączy się twierdzenie, że najbliższy sztab przyboczny niedostatecznie informuje prezydenta nawet co do doniosłych i rozstrzygających spraw. Utrzymuje się np., że Sherman Adams, kierownik kancelarii prezydenckiej, stanowi rodzaj rządu pobocznego, co wyraża się głównie w trzymaniu prezydenta w nieświadomości rzeczy nieprzyjemnych. Jest to jednak zarzut niewątpliwie niesłuszny, co wykazuje już sam fakt, iż prezydent narażony jest na swych konferencjach na różne, najdrażliwsze często i oparte na dobrych informacjach pytania — i jakoś daje sobie z nimi radę.

Kryzys „sputnikowy". Nadeszły jednak wiadomości o sowieckich księżycach i z tym nadszedł punkt szczytowy przesilenia wewnętrznego, jeśli można je w ten sposób nazwać. W Pentagonie — jak stwierdza jeden z korespondentów — zapanowała gniewna trwoga, zmieszana z poczuciem wstydu i zawodu. Zapanowało przekonanie, że szkoda stała się nie przez zdradę, ale przez dobroduszną bierność i niepotrzebne zamieszanie. Uświadomiono sobie, ile przez to kraj stracił z wyjątkowości swego stanowiska międzynarodowego.

Wśród społeczeństwa reakcje były nie wszędzie jednakowe, wszędzie jednak odczuto, że Ameryka jest w niebezpieczeństwie. W tym momencie prezydent — tak przynajmniej sądzą niektórzy publicyści — popełnił błąd, że początkowo nie dał wyraźnej odpowiedzi na nasuwające się pytania. Biały Dom mniemał, że najpilniejszą rzeczą jest przeciwdziałać ewentualnej panice i dlatego obniżał na zewnątrz znaczenie faktów. Wkrótce jednak ze strony prezydenta rozpoczęła się energiczna akcja dla odzyskania utraconego terenu w kraju, a także dla ponownego utwierdzenia prestiżu Stanów Zjednoczonych w świecie.

Kapitał zaufania. Dla akcji swej Eisenhower posiada niezużyty kapitał zaufania w większości społeczeństwa, istniejący nadal mimo wahań, jakie zarysowały się w pewnych kołach i odłamach. Ankiety w sprawie nastrojów, przeprowadzone po wypuszczeniu „sputników", dały na ogół wyniki korzystne dla Eisenhowera. Poważniejsza pod tym względem zmiana zaznaczyła się tylko na Południu, gdzie sprawa Little Rock na krótko tylko poprzedziła sukcesy sowieckie w dziedzinie rakiet. Obie sprawy złączyły się tam przez to w umysłach przeciętnych obywateli. Jeśli jednak idzie o całą resztę Ameryki, a więc o znaczną większość kraju, jak wykazały ankiety, nastroje krytyczne nie objęły osoby prezydenta.

Swoją kontrofensywę Eisenhower rozpoczął od zmian w obsadzie personalnej ważnych placówek rządowych. Objęło to resorty obrony, finansów, sprawiedliwości oraz kierownictwo pomocy dla zagranicy i informacji. O dalszych swych decyzjach Eisenhower zawiadomił społeczeństwo amerykańskie w swej wielkiej mowie radiowo - telewizyjnej. Oznajmił przede wszystkim o reorganizacji badań naukowych, ważnych dla spraw wojskowych, czego sytuacja najbardziej wymagała.

Tak więc, jak wiadomo, powierzył koordynację badań typu militarnego prezydentowi Instytutu Technologicznego w Massachussets, James Killianowi, mianując go swym specjalnym doradcą w sprawach naukowych i technicznych. Killian, obeznany oczywiście z zagadnieniami naukowymi, jest jednak przede wszystkim specjalistą w kwestiach technicznych — i o to właśnie przy wyborze jego chodziło. Pomocą będzie mu cały sztab fachowców. Prezydent zapowiedział nadto utworzenie osobnej „grupy wybitnych ekspertów naukowych", którzy będą doradzali zarówno jemu, jak Killianowi.

Ważna dla koordynacji prac jest dalsza decyzja prezydenta, polegająca na poleceniu ministrowi obrony McElroy, by zapewnił kierownikowi „programu rakietowego" w swym ministerstwie wszystkie pełnomocnictwa, które „są konieczne do zapobieżenia wszelkim przeszkodom, zarówno w administracji (tj. rządzie), jak i w poszczególnych rodzajach sił zbrojnych". W ten sposób kierownik „programu rakietowego" otrzymał w praktyce pozycję równą ministerialnej i wykonanie programu zostało uniezależnione od poszczególnych rodzajów sił zbrojnych. W drażliwej sprawie ustawy atomowej prezydent zapowiedział zwrócenie się do Kongresu o stworzenie podstaw prawnych pod „wymianę odpowiednich informacji technologicznych z zaprzyjaźnionymi państwami". W praktyce oznaczać to będzie zapewne modyfikację wspomnianej ustawy.

Duża część mowy prezydenta poświęcona była zapewnieniu świata i własnego społeczeństwa, że choć Sowiety prawdopodobnie w chwili obecnej przodują w niektórych dziedzinach broni długodystansowych i w dziedzinie sztucznych satelitów, to jednak „ogólna siła świata wolnego jest zdecydowanie większa niż krajów komunistycznych". W szczególności w dziedzinie broni jądrowych, zarówno ilością jak jakością, Stany Zjednoczone znacznie wyprzedzają Sowiety. Prezydent podał szereg przykładów, znanych już z prasy codziennej.

Choć z mowy Eisenhowera wyziera wola naprawy braków, brak w niej jednak akcentów siły. Eisenhower zapowiada kontynuowanie polityki pokoju, przy równoczesnych wyścigach o przewodnictwo w dziedzinie techniczno-militarnej z Sowietami. Niewątpliwie jego decyzje i zapowiedzi poprawiły stan nastrojów. Ale decydujące oczywiście będzie, co Stany Zjednoczone będą potrafiły zamanifestować już w niedługim czasie. Z tego zdaje sobie niewątpliwie sprawę przede wszystkim sam Eisenhower.

POGOTOWIE

Sowiety zaczęły znowu gadać o wojnie, grozić i straszyć. Propaganda sowiecka tuż po sukcesie ze „sputnikami" kładła początkowo nacisk na stronę naukową i techniczną osiągnięcia. Ale Chruszczow nie wytrzymał i obok „niewinnych" żartów na temat współzawodnictwa w przestrzeni międzyplanetarnej, zjawiły się przechwałki o zasięgu sowieckich rakiet międzykontynentalnych.

Potrząsaniu rakietami Zachód przeciwstawia swoje pogotowie obronne i starania dokoła umocnienia zachodniego przymierza. Szybko po sobie następujące wydarzenia, wiadomości o zamierzeniach, ton prasy i nastroje opinii wskazują na zdawanie sobie sprawy, że konieczny jest intensywny i uporządkowany wysiłek.

Zachód zaczyna odpowiednio patrzeć na osiągnięcia sowieckie. Podkreśla rozwój nauk ścisłych i technicznych w Rosji. Zwraca się uwagę na produkcję absolwentów fizyki i inżynierii, przekraczającą dwukrotnie produkcję amerykańską; na opiekę, jaką rząd sowiecki i partia otaczają naukowców i techników, zapewniając im luksusowe, jak na warunki tamtejsze, życie, a nawet zwalniając ich z aktywności partyjnej pod warunkiem wydajności fachowej. Przypomina się, że pierwsza bomba wodorowa została przez Sowiety wyprodukowana w roku 1953, wskazując na związek nauki i techniki z polityką w Sowietach; symbolem tej ścisłej współpracy może być postać profesora Błagonrawowa, niewątpliwie wybitnego uczonego, ale także... generała artylerii, którego kariera naukowa zaczęła się w wojsku i z wojskiem pozostaje związana.

Odpowiedzią na groźby jest pogotowie amerykańskiego lotnictwa, ramię zbrojne przymierza północno - atlantyckiego: 25.000 samolotów, milion żołnierzy, bazy, z których sięgnąć może lotnictwo amerykańskie wszędzie na terytorium Związku Sowieckiego, gotowość bojowa, dzięki której 15 minut potrzeba, by samoloty znalazły się w powietrzu w drodze do... celów znanych na pamięć załogom.

Rakiety amerykańskie z głowicą atomową, choć zasięg ich jest mniejszy niż międzykontynentalnych pocisków sowieckich, sięgną jednak dostatecznie daleko.

Oświadczenia amerykańskie podkreślają równie silnie intencje pokojowe Stanów Zjednoczonych, jak ich decyzję ofensywnego odparcia uderzenia sowieckiego na którekolwiek państwo wchodzące do Paktu Północno-Atlantyckiego: „atak na jednego jest atakiem na wszystkich". Przypomnienie tej zasady wpłynęło być może hamująco na Sowiety w okresie niedawnej ich presji w stosunku do Turcji.

Propozycje amerykańskie umocnienia Paktu przewidują: instalację baz rakietowych atomowych w Wielkiej Brytanii i innych krajach europejskich, oczywiście za zaproszeniem przez dane państwa; składy broni atomowych w Europie, do dyspozycji sił zbrojnych NATO; przeszkolenie aliantów w użyciu broni atomowych; usprawnienie paktu przez rozdział zadań między państwa uczestniczące; znaczne zwiększenie współpracy politycznej, gospodarczej i technicznej; wspólny program wzmożonego wysiłku naukowego i technicznego.

Dowodem, jak poważnie Ameryka traktuje obecną fazę pogotowia obronnego, jest nawrót do współdziałania między rządem i opozycją w polityce zagranicznej; wyrazem tego jest zaproszenie przywódcy partii demokratycznej, Adlai Stevensona, by działał jako doradca rządu amerykańskiego w sprawach związanych ze wzmocnieniem i rozbudowaniem Paktu Północno-Atlantyckiego.

Wystąpienia prezydenta i rządu przestrzegają naród amerykański przed „ideałem wygodnego życia"; administracja będzie żądać podwyższenia kredytów na obronę i pomoc zagraniczną, zapominając o niedawnych oszczędnościach dla zrównoważenia budżetu.

Nowy doradca techniczny prezydenta Eisenhowera, dr James Killian, otwarcie wskazuje na konieczność usprawnienia maszyny obronnej państwa, krytykując rywalizację między broniami.

Niedawna konferencja parlamentarzystów państw-członków NATO zastanawiała się wszechstronnie nad umacnianiem przymierza „w głąb". Wprawdzie stanowisko amerykańskie podkreśla jeszcze przede wszystkim rolę wojskową paktu, ale pod naporem sytuacji i nacisku europejskich sprzymierzeńców coraz wyraźniej rysuje się zrozumienie dla aspektów gospodarczych, technicznych i politycznych. Zalecenia konferencji dotyczą: racjonalnego wysiłku pomocy dla krajów gospodarczo upośledzonych, utworzenia instytutu badań naukowych „wspólnoty atlantyckiej", uruchomienia wielkiego programu wspólnego kształcenia i ćwiczenia naukowców i techników. Opory przeciwko ograniczaniu suwerenności istnieją nadal, ale hasło „współzależności", rzucone w Deklaracji Waszyngtońskiej, znajduje odbicie w dążeniu do praktycznych rozwiązań.

Konferencja zbiegła się z kryzysem wewnętrznym w pakcie na tle sprawy dostarczania broni dla Tunisu. Aczkolwiek winien jest przede wszystkim upór Francji w obronie jej uprzywilejowanej pozycji w Afryce północnej, to jednak większa koordynacja polityczna i uzgadnianie posunięć mogły były zapobiec szkodliwemu zatargowi.

Kryzys ten posłużyć może do szczerego wyjaśnienia obaw, jakie żywią mniejsi partnerzy w NATO w stosunku do największego sojusznika — Stanów Zjednoczonych, zwłaszcza gdy ich współdziałanie z Wielką Brytanią może nosić cechy hegemonii anglo-saskiej w Europie. Obawy te muszą ustąpić, zarówno w interesie zaufania wzajemnego między członkami paktu, jak i w interesie opinii, jaką NATO cieszyć się będzie wśród neutralnych krajów.

Byłoby nieszczęściem, gdyby istotnie mieli choćby częściową rację krytycy roli państw anglosaskich — zwłaszcza Anglii — twierdzący, że zbliżenie jej do Stanów Zjednoczonych ma także na celu zahamowanie integracji europejskiej, by móc traktować Europę zachodnią jako słabszego, bo niezorganizowanego partnera.

Podbudowanie przymierza pokojową treścią polityczną, troska o zagadnienia gospodarcze i społeczne, o pomoc krajom słabszym i uboższym, będzie miało kapitalne znaczenie dla sprawy ważniejszej jeszcze niż pogotowie zbrojne, mianowicie pojedynku o zaufanie i przyjaźń ludów Afryki i Azji, o zaufanie tych narodów, które tkwiąc w bloku komunistycznym nie przestają tęsknić do wolności i obserwują bacznie politykę wolnych narodów.

Wbrew bowiem pogróżkom i „pobrzękiwaniu" rakietami, wojna nie jest ani nieunikniona, ani bardzo prawdopodobna. „Deadlock" nuklearny i nasilenie pogotowia obu stron zwiększa tylko niechęć poniesienia ryzyka po stronie sowieckiej i szczery strach na Zachodzie przed rozstrzygnięciami wojennymi w skali światowej.

Mnożą się prócz tego głosy, że Sowiety nie tracą nadziei na pokojowe wygranie wyścigu o supremację nad światem. Specjalnie cenne w tym zakresie są wypowiedzi amerykańskie, bo znaczą one pogłębiające się tam zrozumienie często upraszczanego dotychczas obrazu rzeczywistości.

Wiceprezydent Nixon powiedział: „...Zagrożenie największe ze strony Rosji nie polega na zastosowaniu przez nią otwartej agresji, ale na agresji na polu ekonomicznym, politycznym i psychologicznym... Troską moją dzisiaj jest to, że kładąc taki nacisk na siłę wojskową, możemy zaniedbać te inne dziedziny..." Prezydent Eisenhower woła o wzmożony wysiłek naukowy i techniczny, o system szkolny, który by faworyzował przyszłych naukowców, o programy, które by nie zaniedbywały nauk ścisłych, o ułatwienia i zachęty w produkcji kadr nauczycielskich. „Ojciec bomby wodorowej", prof. Edward Teller, zastępca dyrektora laboratorium radiacji na uniwersytecie kalifornijskim (wyposażonym w sławny „Bevatron", zdystansowany już dzisiaj przez Sowiety), pisze: „Rozwój nauki dziś, to rozwój techniki jutro. Wielu z nas obawia się agresji sowieckiej. Nie jestem całkowicie wolny od tego strachu. Ale nie przypuszczam, że ta droga jest najbardziej prawdopodobną metodą, jaką chcą nas pobić. Sowiety chcą osiągnąć tak szybki postęp w nauce i technice i pozostawić nas tak daleko w tyle, że nic zrobić nie będziemy mogli. Rok każdy bez wojny jest korzyścią dla ludzkości. Ale Rosjanie mogą nas pobić bez wojny, jeżeli osiągną całkowitą przewagę naukową i techniczną... Jeżeli pójdą w wyścigu technicznym prędzej od nas, staniemy się bezsilni. Jeżeli my nie potrafimy wykorzystać naszego systemu wolności dla zwielokrotnienia naszego wysiłku, gdy Rosjanie wykorzystają swój system tyrański w tym celu, oni zwyciężą..."

Oby świat zachodni, do tych słusznych spostrzeżeń dodał jeszcze większe i powszechniejsze zrozumienie znaczenia wyścigu tężyzny moralnej i troski społecznej o bliźniego.

S. G.

LUDZIE I ZDARZENIA



Jean Coquelin, maszynista kolejowy, który oddał swe życie za bezpieczeństwo 500 pasażerów. zaliczony będzie na pewno w poczet bohaterów francuskich dróg żelaznych. W dniu 31 października prowadził on pociąg osobowy idący z Rennes do Saint-Malo. W pewnej chwili drzwiczki pieca lokomotywy pękły i maszynista w jednej chwili stanął w płomieniach. Pomimo straszliwych poparzeń Coquelin miał dość odwagi i przytomności, by dotrzeć do dźwigni hamulców i zatrzymać rozpędzony pociąg. Wówczas dopiero wyskoczył, paląc się jak żywa pochodnia. Przewieziono go natychmiast do szpitala w Nantes, gdzie następnego dnia kilkunastu kolejarzy zgłosiło się jako ochotnicy na przeszczepienie poparzonemu płatów ich skóry. Mimo tej delikatnej operacji i mimo rozpaczliwych wysiłków lekarzy, by uratować mu życie. Jean Coquelin zmarł po 11 dniach na atak serca. Na trumnie jego odprowadzanej przez setki francuskich pracowników kolei, minister Transportów zawiesił Krzyż Legii Honorowej.

✱

Hannah Pick jest dziś dyplomowaną pielęgniarką i żyje w Jerozolimie wraz z swym mężem, oficerem armii Izraela i trojgiem dzieci. Prostej tej wiadomości dodaje znaczenia komentarz, że była ona w r. 1943 wywieziona przez Niemców z Amsterdamu i cudem tylko dożyła końca wojny w jednym z hitlerowskich obozów śmierci. Mało kto jednak wie, że Hannah Pick to nie kto inny, tylko mała „Liza", przyjaciółka Anny Frank, która wielokrotnie wspomina o niej w swym sławnym dziś Dzienniku.

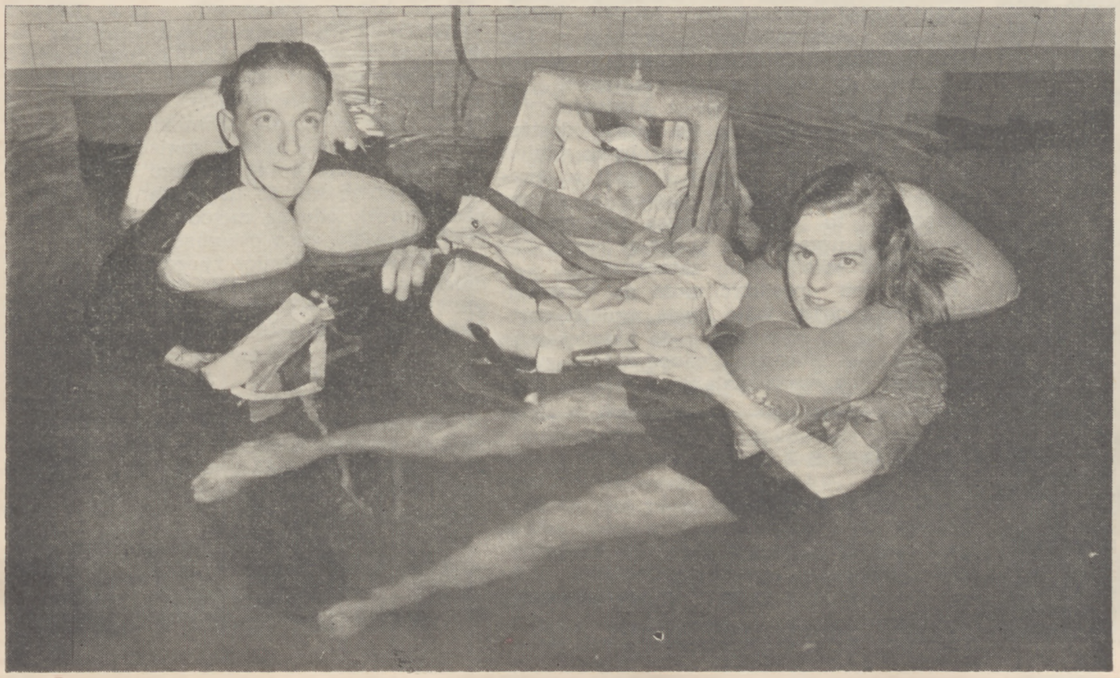
✱

Jarosław Drobny, którego pamiętamy jako zwycięzcę Wimbledonu sprzed 2 lat, postanowił obecnie zabezpieczyć swój przyszły byt materialny przy pomocy przemysłu i handlu. Za swe niezbyt zresztą wielkie oszczędności (Drobny nigdy nie chciał zrezygnować z amatorstwa), założył w Anglii wytwórnię wędlin kontynentalnych. Sam właściciel, który zupełnie nie zna się na robieniu kiełbas, będzie jedynym na razie agentem handlowym swej firmy. Ma on przytem nadzieję, że nie zawiodą go rozległe stosunki nawiązane w okresie długiej i świetnej kariery sportowej, i że liczne rzesze wielbicieli rakiet nie zawiodą w roli konsumentów środkowoeuropejskich wędlin. Drobny, który jak wiadomo wolał zachodnią swobodę i egipski choćby paszport od zaszczytów, jakie niewątpliwie czekały go od czechosłowackiej „władzy ludowej", stara się obecnie o obywatelstwo brytyjskie. Nie przestaje przytym grać w tenisa i właśnie w tym roku wygrał znowu we Francji puchar Caneta.

✱

[illegible]llan Nunn May (na zdieciu [illegible] gór[illegible] skazany w swo-[illegible] [illegible]o lat więzienia za wydanie [illegible] ent[illegible] [illegible]wieckim sekretów atomowych, przebywa już od pewnego czasu na wolności i pracuje naukowo w Cambridge. Jak sobie przypominamy, w nagrodę za współdziałanie z kontrwywiadem brytyjskim, któremu dzięki jego dobrowolnym zeznaniom udało się unieszkodliwić jedną z sowieckich sieci szpiegowskich na terenie Anglii i Stanów Zjednoczonych, dr May otrzymał pozwolenie na kontynuowanie swych studiów w więzieniu. Zaprzecza on dziś kategorycznie, jakoby wiadomości, które przekazał specjalistom rosyjskim przyczyniły się do uzyskania przez Sowiety przewagi w dziedzinie broni atomowej. Co więcej dr May utrzymuje, że jeżeli Sowiety wyprzedziły w tej chwili Amerykę w sferze budowy rakiet i pocisków balistycznych, to prymat w dziedzinie produkcji energii jądrowej należy do Wielkiej Brytanii.

✱



Suzan King, która liczy sobie aktualnie 6 miesięcy życia i jest córką oficera R.A.F., zatrudnionego w brytyjskim Instytucie Medycyny Lotniczej, była w tych dniach bohaterką pierwszych doświadczeń przeprowadzonych w Farnborough z nową „kołyską ratunkową". Nad urządzeniem tym, mającym w razie katastrofy nad oceanem, zwiększyć szanse uratowania coraz liczniejszych na liniach lotniczych pasażerów - dzieci, pracowało od wielu miesięcy kilku najwybitniejszych specjalistów Instytutu, a wśród nich kapitan John King. Na fotografii naszej towarzyszy on swej żonie i córce w czasie praktycznych badań skuteczności nietonącej i zabezpieczającej przed zimnem kolebki. Co się tyczy małej Zuzanny, to nie wydaje się ona zbyt przejęta tą eksperymentalną kąpielą.

✱

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734.